Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1890. Rok XIII



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Wędrówki naszych ptaków.

Skreślił

Władysław Spausta.

(Dokończenie).

E. F. Homayer powiada, iż kto ptactwo cierpliwie i dłuższy czas bada w jego wędrówkach, ten doświadczy, iż wędruje ono w większej części wypadków z wiatrem, a Faber w wspomnianem swem dziele o ptakach północy twierdzi, iż każdy ptak wędruje przy innym wietrze i że wiatr, który sprowadza kaczki do Zelandyi, wypędza mewy.

Bracia Müllery wyrażają ogólnie, iż wędrówki ptaków zawsze były w ścisłym związku z panującymi podówczas wiatrami; przy wiatrach północnych i wschodnich odlatywały ptaki, przy wiatrach południowo-zachodnich i zachodnich przybywały do nas.

Zdanie znakomitego Middendorffa *(Sib. Reise B. IV. Th. II. S. 1171)*, przytaczam tu w dosłownem tłumaczeniu: „Według moich doświadczeń, w kraju Taimyr, nie mogę wiatrom przypisać jakiegokolwiek wpływu na wędrówki ptaków. Zapewniają mnie jednak krajowcy, osiedleni czasowo niedaleko rozpoczynającej się strefy lasowej, iż pierwsze gęsi najregularniej przylatują tu w maju, przy wietrze południowym“, a nieco niżej dodaje „przy silnym wietrze południowo-zachodnim widziałem z końcem maja łabędzie, gęsi i mewy wędrujące na północ“.

Według wiadomości, umieszczonej w *Jris* 1845, przylatują skowronki w jesieni przy wietrze północnym, zwanym we Włoszech „Tramontano“, na wy[illegible]eża Sycylii koło Palerma.

Ostatecznie naprowadzam tu słowa dr. Quistorpa, dzielnego myśliwego i przyrodnika, zamieszczone jako wyraz przekonań świata łowieckiego w tym przedmiocie w Naumanii r. 1888: „Na podstawie spostrzeżeń powstało tak we mnie jako też w całym świecie łowieckim tutejszej prowincyi przekonanie, a to pomimo rozmaitych innych teoryj, iż ptaki wędrują z wiatrem, a mianowicie w słotnych i pochmurnych nocach“.

Zdanie o wędrówkach ptaków pod wiatr nie zdołałoby się tak długo i uporczywie utrzymać, gdyby było, jak to mówią, z palca wyssane i nie polegało choć w części na spostrzeżeniu, jednak na spostrzeżeniu niedokładnem. Wiadomo, że wiele gatunków ptaków a w szczególności te, które się niezwykłą ciężkością ciała odznaczają, n. p. dropie, gęsi, kaczki, kuropatwy a nawet w porze jesiennej oblane kszyki lub tuczne przepiórki, zrywają się z miejsca pod wiatr, wznoszą się w tym kierunku do pewnej wysokości, wreszcie

zataczają koło i lecą bądź z wiatrem, bądź w poprzek tegoż. To zrywanie się pod wiatr samo dla siebie dało już poniekąd fałszywe podstawy, a dołączyła się do tego jeszcze błędna argumentacya, iż ptak musi wędrować pod wiatr, bo inaczej wiatr z tyłu wciska się pod pióra, burzy takowe i lot utrudnia. Nie zastanawiano się jednak nad tem, jaką straszną pracę mechaniczną musi ptak wykonać, aby z pewną szybkością poruszać się pod prąd wiatru. Widzimy na wielu bardzo ptakach, z jaką forsą i wysileniem porywają się one w ogóle, a cóż dopiero mówić o tem, gdy wiatr jeszcze działa na rozpuszczone skrzydła, przedstawiające płaszczyznę ukośną względem jego kierunku. Wzniesienie się w takim razie w kierunku wiatru jest mechanicznie niemożebne, bo siła wiatru rozkłada się na płaszczyźnie skrzydeł na dwie siły składowe, z których jedna przydusza ptaka do ziemi, tem bardziej, im skrzydła są ukośniej względem ciała osadzone, druga zaś działa poziomo; musi zatem ptak wzlatywać pod wiatr, gdyż w takim razie wiatr ulżywa ciężarowi ciała, działając jedną składową siłą na wzniesienie się ptaka.

Naiwną jest argumentacya wspomniana o wciskaniu się wiatru w pierze, co ma odstraszać ptactwo od wędrówki z wiatrem. To pewna, że ptak chroni się wzburzenia pierza przez wiatr z tyłu działający, ale obawiać się może tego li tylko wtenczas, gdy spoczywa, lub gdy ruch jego w kierunku wiatru o wiele jest wolniejszym od chyżości tegoż. To też, spoczywające ptaki reguralnie głowami do wiatru się obracają, a wiatr ślizga się po pierzu, w naturalnym kierunku ułożonem. Przeciwnie, każde zadarcie pierza w kierunku od ciała, oprócz tego, iż łamie go i osłabia w ten sposób w ptaku największą jego potęgę, musi zarazem być złączone z bolesnem uczuciem. Niemal codzienna praktyka łowiecka przekonuje, iż ptactwo byle jakie, a w szczególności słonki, używają właśnie wiatru do spotęgowania szybkości lotu, dają się unosić chyżości wiatru i stąd pochodzi, iż podczas dni wietrznych ciągną z wiatrem z niezmierną szybkością i wysoko, podczas, gdy słonki, ciągnące pod wiatr, lecą niżej, w strefie więcej zaroślą drzew chronionej; widocznie zatem, iż ptak szuka wiatru, który mu w locie dopomaga, a unika prądów przeciwnych.

Gdybyśmy nawet zupełnie odrzucili myśl, iż ptak daje się unosić prądom wiatru, to jeszcze, porównawszy szybkość rozmaitych wiatrów z chyżością średnich nawet latawców, przyjdziemy do przekonania, iż argumentacya powyższa jest bezpodstawną. Podc[illegible]byt silnych orkanów w regule wędrówka ustaje. Odczuwanie ruchu powietrza jest rzeczą względną, podobnie jak odczuwanie temperatury; podróżujący balonami nie odczuwają bynajmniej prądów wiatru, bo poruszają się razem z wiatrem a równą chyżością, a jeździec, pędząc w czwale z wiatrem, odczuwa prąd powietrza z przodu, jeżeli tylko bieg konia jest szybszy od prądu wiatru. Lot większej części ptaków jest daleko szybszym niż silne nawet prądy wiatrów. Według dokonanych doświadczeń, przelatuje gołąb 24 metrów na sekundę, podczas gdy wiatr, który według skali Scotta wstrząsa już silnie drzewami i obrywa gałęzie, tylko 20 metrów w sekundzie przebiega i dopiero orkan, przewracający drzewa z korzeniami, zrywający dachy, do 33 metrów chyżości sekundowej dochodzi. Najczęstsze prądy wiatrów, które zwykle dłuższy czas w jednym kierunku trwają, posiadają chyżość od 5—15 metrów na sekundę, pozostają zatem daleko po za szybkością lotu nawet bardzo słabych latawców.

Wprawdzie zdarza się, że silne wiatry mogą wędrujące ptactwo zachwycić w drodze, jednak są to wyjątki, a twór ten, żyjący w powietrzu i niejako nim przesiąknięty, odczuwa doskonale każdą mającą nastąpić zmianę. To też od kolebki ludzkości były ptaki nauczycielami w tym względzie, a po dziś dzień jeszcze zachowanie się ich odmienne, ich niepokój, niezwykłe głosy i t. p. są doskonałą wskazówką zmian atmosferycznych dla tych, którzy, nie posiadając przyrządów i aparatów, umieją czytać na tej nie dla każdego zrozumiałej skali natury.

Dokąd odlatuje nasze ptactwo? Jest to znów zagadnienie, które długo już zajmuje i zajmować będzie uwagę badacza, i jakkolwiek nieco już w tym przedmiocie wiemy, daleko więcej do zbadania pozostaje. Ptactwo nasze, przelatujące morze Śródziemne, przepędza zimę w Afryce, jednak tak, jak trudnym jest do zbadania ten czarny kontynent, jak mozolnie i z ogromnymi ofiarami postępuje w naszych oczach falanga nieustraszonych pionierów wśród tego lądu, owianego nieprzyjaźnym a częstokroć zabójczym klimatem, o tyle trudniej jeszcze gromadzi się materyał specyalny do wyjaśnienia kwestyi, w których okolicach tego lądu pojedyńcze gatunki naszego ptactwa przebywają.

Nie mogąc w tej zawiłej sprawie z własnej obserwacyi nic wypowiedzieć, powołaćbym się musiał chyba na materyały zebrane przez rozmaitych podróżnych. I tu jednak trudno dopatrzyć zgody, wyjąwszy co do ptaków, których pobyt zimowy w Afryce już dawno w swych granicach jest skonstatowany i każdemu wiadomy. A są to gatunki, zimujące w zbadanych krainach północnej części afrykańskiego kontynentu.

Jak słabą jest wiedza w tym kierunku, udowadniają zdania naturalistów co do wędrówek tak znajomego ptaka, jakim jest jaskółka. Podczas, gdy jedni twierdzą, (Palmen), iż jaskółki morza Śródziemnego wcale nie przelatują, utrzymuje większość naturalistów, a między niemi i A. Brehm, iż ptactwo to wędruje daleko na południe w głąb Afryki i gubi się w okolicach dotąd niezbadanych.

Wallace i wielu innych utrzymują, iż ptaki młode gatunków, zimujących zazwyczaj w Afryce, nie przelatują morza Śródziemnego, a młode ptaki gatunków północnych nie dolatują do stref arktycznych; przeciwne zaś zdania wypowiadają inni i popierają je rzekomymi doświadczeniami. Także pod względem wędrówek ptaków z północy, w porównaniu do wędrówek ptactwa stref umiarkowanych, zupełny chaos twierdzeń napotkać można; przeważają tu zaś wnioski logiczne, nie zaś wypowiedzenia na wiedzy oparte.

Uważam w ogóle kwestyę dalszych wędrówek ptactwa jako stojącą jeszcze na tym punkcie, iż nie powinna ona występować na widownię szerszą. Przedwczesne rozgłoszenie niedokładnie lub wcale błędnie rozwiązanych zagadek, do żadnego celu prowadzić nie może. Gdziekolwiek bądź zimują nasze ptaki, wracają one do nas przez nieznane kraje wśród grożących ze wszech stron niebezpieczeństw, by powitać znów z wiosną swe rodzinne strony i swe zeszłoroczne pielesze, skonstatowano bowiem, iż wiele gatunków używa rok rocznie tych samych gniazd, że wspomnę tu tylko o jaskółkach, bocianach, czaplach, rybołówkach. Niemal wszystkie nasze gołębie, szpaki i gawrony wracają na swe dawne gniazda.

Ten sam zwyczaj zachowuje również wiele ptaków, które ściśle do wędrownych nie dają się zaliczyć. Ptactwo wodne i błotne, jeżeli tylko stosunki się nie zmieniają, wraca również na te same miejsca, a jeżeli nie odszukuje swych gniazd, to chyba dlatego, bo my o tem nie wiemy, albo z przyczyny, że niema czego odszukiwać, bo trudno n. p. dołek bekasi nazwać gniazdem. Nieudolne gniazdo kaczki

ulega zaraz po wykłuciu się piskląt zniszczeniu; wiatr rozwiewa trochę suchej trawy i pierza, a woda podtapia i wszystko bez śladu się zmienia. Lecz kaczka, gnieżdżąca się w gnieździe obcem na drzewie, niemal zawsze powraca na swe dawne gniazdo, chyba, że uprzedzi ją w tem jaki inny ptak i gniazdo w posiadanie weźmie.

Widziałem raz, już temu lat kilka, taką wojnę o gniazdo pomiędzy krzyżówką i wroną. Po okropnych krzykach z obu stron, widocznie kaczka, rozważywszy rzecz spokojnie i uznawszy słuszne prawa wrony do jej własnego gniazda, ustąpiła ze swoimi pretensyami, a wrona pozostała na gnieździe.

Jeżeli u bekasów trudno jest škonstatować, czy używają tych samych miejsc na gniazda, to znów jest rzeczą niezaprzeczoną, że stare kszyki, dubelty i t. p. powracają na dawne miejsca. Od lat już pięciu spostrzegam co roku parę kszyków, biegających przy brzegu małej sadzawki pod lasem; przebywają one regularnie od wiosny do jesieni na tem samem miejscu, żerują na namule brzegu, spłoszone odlatują z krzykiem zawsze na jedno miejsce zrębu, gdzie prawdopodobnie muszą mieć gniazdo, którego dotychczas jednak wynaleść nie potrafiłem, a niezadługo wracają napowrót i to z taką pewnością, iż każdemu mogę o pewnej godzinie ptaki te pokazać. W jesieni, gdy młode już dorosną, zjawia się nieraz cała familia przy sadzawce, jednak z wiosny przybywa li tylko para starych.

Znane są myśliwym t. z. dubelcie miejsca. Ptak ten dziwnie się trzyma zawsze pewnej łąki, a na innych, na pozór zupełnie jednakowych, niema go. Po wystrzelaniu dubeltów na takiem miejscu, z pewnością dłuższy czas dubeltów nie będzie, aż znów po kilku latach nowi młodzi przybysze, znalazłszy odpowiednie miejsce, osiedlą sie na niem.

Powroty ptactwa, a szczególniej powroty ptaków młodych, które u wielu gatunków osobno wędrują do ciasnych granic jakiejś okolicy, możemy tylko wtenczas pojąć, jeżeli przypuścimy u istot tych szczególniejszą pamięć i działanie pewnego zmysłu, który znamy w pojawach, lecz nic nie wiemy dotąd o jego istocie. Ten sam zmysł, który dozwolił gołębicy wrócić do korabia Noego — „I wróciła się do niego gołębica pod wieczór, a oto rószczka oliwna w uściech jej“ (Ks. M. Rozd. VIII. II.) — ten sam zmysł prowadzi nasze ukochane jaskółki, bociany, gajówki i t. d. na swe dawne gniazda, i dozwala nam powitać dawnych znajomych, zawsze zwiastunów światła i życia.

W obec takiej pewnej busoli, jaką Przedwieczny złożył w organizmie ptaszka, wytycza on sobie szlaki kierunkowe; że to zaś eklektyk z urodzenia, więc korzysta z prądów, które go w wytyczonym kierunku najłatwiej do celu doprowadzić mogą. Czem dalej postępują ścisłe badania tego przedmiotu, tem bardziej występuje znaczenie owego zmysłu oryentacyjnego, a może niezadługo nadejdzie chwila, iż nauka zdoła wykryć owe materyalne działacze zmysłu oryentacyjnego w fizycznym ustroju zwierząt, podobnie jak już wykryła bardzo wiele subtelnych działaczy, po których odjęciu i możność pewnych funkcyj ustaje.

Zmysł oryentacyjny bynajmniej nie jest wyłącznym przywilejem ptaków; spotykamy go w całym świecie zwierzęcym, a w człowieku usypia on i zanika w miarę jak stosunki wytwarzają stan, w którym nie potrzebuje być ćwiczonym. Podobnie jak słabną inne lepiej znane zmysły pod wpływem nieczynności, jak zanikł u wielu organizmów t. z. pokład mięsny *(paniculus carnosus)* t. j. płaskie muszkuły podskórne, za pomocą których n. p. koń wtrząsa skórą, odpędza owady, pies otrzepuje wodę, jeż nastawia kolce, inne zjeżają włos i t. p. — podobnież zanika w organiźmie wiele istniejących działaczy pod wpływem bezczynności i braku ćwiczenia.

Ze zdumieniem spoglądamy nieraz na pewne objawy u ludzi więcej żyjących w wolnej przyrodzie, a im bardziej zmienia się nasz fizyczny ustrój pod wpływem kultury, tem niezrozumialszymi stają się pewne objawy, spotykane w świecie wolnej natury. Zmysł oryentacyjny zanadto uwidacznia się u ptaków, aby ktokolwiek mógł o nim powątpiewać. U zwierząt ssących mamy nieraz sposobność bliżej go obserwować, a pomijając wiele spostrzeżeń własnych na zwierzętach, wspomnę tu tylko o jednym wypadku, który mnie w największe zdumienie wprowadził.

W r. 1876, w miesiącu czerwcu, ujął był leśniczy w lesie Podleskim (pow. Złoczowski) na zrębie koźlątko (sarnię płci męzkiej) kilkutygodniowe, wsadził do grubego worka i przysłał mi je na furze siana do Juśkowiec, t. j. na odległość około 7 kilom. Mlekiem krowy z flaszeczki żywiłem sierotę, póki jeść nie zaczęła, a następnie puściłem koziołka do wielkiego płotem ogrodzonego parku. W jesieni zaczął osadzać rożki, stał się dzikim, upartym i napastliwym, a gdy pierwszy śnieg popruszył, odezwał się z wieczora po kilka razy dziwnym głosem i umknął z parku, przesadziwszy płot. Poszedłem zaraz rano za jego śladem i ze zdumieniem doszedłem, aż do miejsca, w którym jako koźlę uchwyconym został. Tutaj zginął mi ślad wśród tropów rozmaitych, w gęstwi kilkuletniego zrębu. Las, o którym mowa, wcale z parku Juśkowieckiego nie był widoczny, natomiast w niewielkiem oddaleniu zamykają widnokrąg lasy, ciągnące się na pagórkach od strony południowej. Koziołek nie zwrócił jednak uwagi na wspomniane lasy, na które ciągle patrzeć musiał, lecz szedł niemal w prostej linii przez środek osady do rodzinnej kniei. To już chyba nie pamięć, nie doświadczenie — to pociąg wrodzony do ojczyzny, kierowany zmysłem oryentacyjnym, to skutki działania czynników, danych niezawodnie w fizycznej organizacyi.

Może ktoś powiedzieć, że to przypadek, ślepy traf. Niech i tak będzie, przeciwieństwa udowodnić nie mogę, dodam tylko, że przypadków takich mógłbym na setki naprowadzić z doświadczenia innych i że przypadki takie zbyt często się zdarzały, a więc zasługują już na uwagę jako objawy nieokreślonego bliżej prawa natury.

W końcu pozwolę sobie przytoczyć następujące słowa Middendorffa: „Liczne przykłady w mem życiu udowodniły mi istnienie zmysłu oryentacyjnego u psa i konia, nigdy jednak nie doprowadziły mnie doświadczenia, czynione w tym względzie, w takie zdumienie, jak objawy tego zmysłu u ludzi w nieskończonych tundrach (zamarzających błotach) północy. Przechodzi wszelkie pojęcie, co Samojedzi w tym kierunku zdziałać mogą“. Nieco dalej mówi ten sam autor: „Wysoki stopień wykształcenia zmysłu oryentacyjnego u nomadów jest zadziwiający. Dla późnej pamięci zachowam kartę mego pamiętnika, na której skreśliłem zdumiewające odkrycie, że omylił mnie mój własny kompas, a dopisał zmysł oryentacyjny tych ludzi. Na kompas bowiem działało zbliżenie bieguna magnetycznego, powodując znaczne zboczenia, i ze wstydem poznałem, iż wyrządziłem krzywdę tym dobrym ludziom, posądzając ich o pomyłkę. Wobec doskonale rozwiniętego zmysłu oryentacyjnego u tych nomadów, wstyd mi było moich wiadomości topograficznych i aparatów“.

Sądzę, że każdy bezstronnie na rzecz patrzący, po uznaniu u ptaków w wysokim stopniu wykształconego zmy-

słu oryentacyjnego, nie przypuści nigdy, iż ptak kiedykolwiek mógłby się zbłąkać. Zbłąkanie się jest tylko wtedy przypuszczalnem, gdy równowaga darów wrodzonych zwichniętą została i gdy przewaga pewnych zmysłów i zbytnie ukształcenie jednostronne doprowadziły do zaników zmysły inne, co się nie da ani pomyśleć ani dostrzec w świecie wolnej natury, gdzie wszystkie czynniki równomiernie działają.

Nazywamy wprawdzie w praktyce łowieckiej pojedyncze rzadkie egzemplarze, o których wiemy, iż nie należą do naszej strefy klimatycznej, „zbłąkanymi", — lecz według przekonania mego nigdy może określenie nie oddalało się tak bardzo od prawdy, jak właśnie w tym wypadku. Trudno jest zawsze dociec, jakie przczyny skłonić mogły mieszkańca stref innych do pozostania zdala od swych współplemieńców, zwłaszcza jeżeli na tym pojedynczym egzemplarzu nie możemy odkryć żadnych powierzchownych wskazówek, któreby w uszkodzeniach ciała i fizycznej niemożności kazały szukać powodu pozostania. Działać tu może osłabienie, zmęczenie, niemniej jakiś wewnętrzny stan chorobliwy, którego powierzchownie zbadać nie możemy, bo przecież i ptaki ulegają rozmaitym chorobom wewnętrznym i gorączkowym. Może tu działać wreszcie zbytni pociąg do towarzystwa, który odrywa pojedyncze sztuki od stad współplemieńców i łączy je ze stadami ptactwa innego.

Spostrzeżenia, dowodzące wędrówki ptaków młodych u wielu gatunków, niemniej samoistne kierownictwo tychże stad, stały się powodem zupełnie innych wyobrażeń i nadały obszerne znaczenie zmysłowi oryentacyjnemu, o którego istnieniu dawniej tylko słabe miano wyobrażenie, a tem samem wykluczyły przypuszczenia o możności zbłąkania się ptaka.

Omawiając w rozprawie niniejszej, jak ptactwo odbywa swe wędrówki, przemilczałem jeszcze o tak zwanych jeżdżących ptakach, o których ciągle nowe pojawiają się wersye, osobliwie w dziennikach amerykańskich, a przemilczałem z umysłu, to wszystko bowiem, czego się dowiedziałem z *Evening Post* (Nowy Jork) z badań podróżnika Teodora Heuglin, z Petermana *Mittheilungen* jako też z podań podróżnika dr. Lennep, niemniej szwedzkiego podróżnika Hedenborga, uważam jako niewystarczające, aby o przedmiocie tym traktować na seryo, zwłaszcza gdy się z własnego doświadczenia nic a nic w tym kierunku nie wie.

Pominąwszy już wiadomości ciekawe, pochodzące od niewiadomych korespondentów i reporterów, obliczone na szerokie koło czytelników, które wiadomości takie wcale krytyce nie poddają, ale z ciekawością za nimi gonią, — wspomnę tu tylko, iż jeden tylko Hedenborg opowiada wyraźnie, iż widział, jak jakieś małe ptaszki zrywały się z grzbietów usiadających bocianów.

Nie mogąc nic zgoła w tym przedmiocie wypowiedzieć, robię tu tylko skromną uwagę, że niedocenienie fizycznej możności lotu daje może pochop do wyszukiwania czegoś, mającego służyć do wytłumaczenia rzeczy trudno zrozumiałej, a umysł w takim stanie zbyt często fałszywie tłumaczy sobie wrażenia zmysłowe i do coraz błędniejszych dochodzi wniosków. Ztąd powstają twierdzenia na błędnych spostrzeżeniach oparte, stokroć gorsze, niż nieświadomość.

U Beduinów Afryki północnej, niemniej u ludów europejskich, wreszcie i u łowieckich szczepów północnej Ameryki istnieje niemal powszechna wiara, iż niektóre drobne ptaszki odbywają swe wędrówki na grzbietach bocianów, żórawi i gęsi. Miałoby i to jakieś znaczenie, gdyby nie okoliczność dziwna, iż właśnie wyobrażenia prostaczków, stykających się niemal ciągle z naturą, bywają w rzeczach przyrody dotyczących tak wypaczone, iż nie podobna tam dopatrzeć wątku prawdy, a wszystko kryje najdziwaczniejsza i misterna przędza fantazyi. Co do mnie, to właśnie ta ogólna wiara i fantastyczne w tym kierunku opowieści są mi wskazówką, iż ptaki jeżdżące wcale nie istnieją, bo gdyby istniały, nie uszłoby to dokładnej trzeźwej obserwacyi, ugruntowałaby się w tym kierunku wiedza, w obec której fantazyi skrzydła odlatują.

Zbyt często towarzyszą usiadłym ptakom wędrownym rozmaitego rodzaju ptaszki drobne, z rodzajów również wędrownych owadożerców. Prawdopodobnie niepokój, jaki powstaje wskutek ruchu i żerowania tych wielkich ptaków, przysparza i drobnym ptakom żeru; mogło zatem i to być powodem mniemania, że ptaszki te odbywają wspólnie podróże, naturalnie na grzbietach owych wielkich i zdala widocznych, zwłaszcza, że małe ptaszki przy wzniesieniu się wielkich zniknęły dla oka. Wszak przypuszczenie takie jest bardzo logiczne, zwłaszcza, gdy słychać jeszcze w powietrzu świergot ptactwa drobnego podczas przelotu bocianów lub żórawi, świergot ptactwa, którego się nie widzi. Jeszcze więcej logiczną jest myśl, że siedzi ono wygodnie na grzbiecie drugiemu i zadowolone ze swego pomysłu, wesoło przyspiewuje. Tak samo ks. Marek, wyprawiając Beniowskiego w posły do chana perekopskiego (J. Słowackiego, Beniowski), tak mówi:

Jaskółki wiedzą tam drogę na wyraj,
I bocian także z małą szarą pliszką,
Do tej krainy lecą z wielkiem krzykiem;
Bocian okrętem jest, pliszka sternikiem.
Ona ptakowi na ogonie siedzi,
I prostą drogę w chmurach rozpowiada...

Nadzwyczajna przygoda.

Opowiadanie starego oficera.

W r. 1860 pełniłem służbę garnizonową w randze majora. Było to w kwietniu. Właśnie się ukończyły ćwiczenia, a ja, odesławszy swój oddział do kasarni, powoli zdążałem do domu. Nagle usłyszałem, iż mię ktoś po imieniu woła. Był to pułkownik hrabia T., mój stary przyjaciel i towarzysz wypraw myśliwskich.

— Jutro rano — rzekł — będzie mnie oczekiwał leśniczy na zagajnikach miejskich. Wedle jego doniesienia ma tam być dosyć słonek. Jeśli chcesz mi towarzyszyć, oczekuję cię o godzinie 8 rano u siebie.

Chętnie zgodziłem się na propozycyę, i nazajutrz rano wyszedłem z zamiarem udania się najpierw do kawiarni na

śniadanie, a następnie do pułkownika T., ażeby z nim za miasto wyruszyć.

W drodze spotkałem jakiegoś obcego człowieka, który, kłaniając się grzecznie, przystąpił do mnie i zapytał:

— Czy mam zaszczyt mówić z majorem K.?

— Tak — odpowiedziałem — czem mogę panu służyć.

— Pan jesteś, jak słyszałem, znakomitym łowcem niedźwiedzi.

— W istocie, jestem myśliwym — odparłem — a nieraz brałem także udział w wyprawach na niedźwiedzie, nawet miałem szczęście jednego ubić, lecz mimo tego wszystkiego nie zasługuję wcale na miano „znakomitego łowcy niedźwiedzi“.

W czasie tej rozmowy doszliśmy do kawiarni, a ja zaproponowałem memu nieznajomemu, ażeby ze względu, że mi spieszno, zechciał mi towarzyszyć i przy kawie sprawę swą przedstawił.

Znalazłszy się w kawiarni, kazaliśmy sobie podać kawę, a mój towarzysz prócz tego cygaro.

— Przedewszystkiem pozwól pan — zaczął mój towarzysz — że się mu przedstawię. Jestem Aron Knight.

— Przepraszam — rzekłem przerywając — bądź pan łaskaw krótko swą rzecz przedstawić, gdyż czekają na mnie, a z tego powodu mam nie wiele czasu do dyspozycyi.

— Będę się starał uczynić zadość pańskiemu żądaniu. Jestem Anglikiem z rodu.

Anglik ów znakomicie mówił po niemiecku, a czarne kędzierzawe włosy wcale nie odpowiadały jego angielskiemu pochodzeniu, lecz raczej nadawały mu czysto wschodni wygląd. Raziło mnie również imię jego „Aron“, lecz znając szczególną predylekcyę Anglików do imion ze starego testamentu, tembardziej, że nazwisko „Knight“ było czysto angielskiem, dałem spokój czczym domysłom.

— Będę się starał — mówił on dalej — być o ile możności zwięzłym. Mimo to jednak, do zrozumienia całej sprawy, zmuszony jestem nieco dalej sięgnąć pamięcią. Jak już powiedziałem, jestem Anglikiem z rodu. Ojciec mój był angielskim oficerem artyleryi i był, o ile sobie przypominam, w Indyach stacyonowany. Matka zaś moja z młodszą siostrą Arabellą, mającą zaledwie 5 lat, (ja wtedy miałem 10 lat) i ze mną mieszkała w Londynie. Jakkolwiek nie posiadała znacznych dochodów, żyliśmy jednak w przyjemnych stosunkach, a do szczęścia brakowało nam tylko obecności ojca, matce samej zaś, zdrowia. Była bowiem chorowitą; ciągle prawie kaszlała, a wreszcie, czegośmy się najwięcej obawiali, po niedługich cierpieniach, zmarła na galopujące suchoty.

Zamożna ciotka nasza, siostra ojca, mieszkająca w Liwerpoolu, zabrała nas sieroty do siebie, gdzieśmy prawie rok przebyli. Wtem niespodziewanie przyszedł z Kalkuty od ojca naszego list, w którym wyraził życzenie, że chciałby mieć dzieci przy sobie.

Ponieważ w Kalkucie wiele rodzin angielskich przebywało, a stosunki co do utrzymania i mieszkania były dobre, przeto nic wykonaniu woli ojca nie stało na przeszkodzie, jak tylko opór ciotki, która, przyzwyczaiwszy się do dzieci, nie chciała się z nimi rozstać. Życzenie ojca wzięło wszakże górę. Oddano nas żonatemu kapitanowi pocztowego parowca i z początkiem wiosny, pobłogosławieni przez kochaną ciotkę, wyruszyliśmy z Liwerpoolu.

Po długiej podróży, której sprzyjała wyborna pogoda, wylądowaliśmy wreszcie w Kalkucie, gdzie nas żona kapitana okrętu odprowadziła do jakiegoś hotelu, powierzając nas opiece właścicielki tegoż. Tu dopiero dowiedziałem się, że 5 pułk artyleryi, przy którym ojciec mój służył, stoi nie w Kalkucie ale w Dumdum, miejscowości położonej o kilka dni drogi od Kalkuty. Nie pozostawało nam nic innego, jak tylko tam się udać.

Droga do Dumdum prowadziła przez lasy, a ponieważ wtedy nie było tam połączeń pocztowych, trzeba było czekać, dopóki się stosowne towarzystwo nie zebrało, któreby wspólnie w podróż wyruszyć mogło.

Sposobność taka w kilka dni się nadarzyła. Jakiś angielski pastor z żoną, dziećmi i ze służbą, wybierał się w tamtą stronę; korzystając więc z tego, przyłączyliśmy się do towarzystwa.

Po drodze opowiadali nam mieszkańcy tamtejsi łamanym angielskim językiem, rozmaite straszne historye o tygrysach, które podróżnych na drodze napadają i nie tylko dzieci, lecz nawet i starsze osoby pożerają. Rozmaite owe opowieści pobudziły moją wybujałą fantazyę tak dalece, że za każdym prawie krzakiem widziałem jakiegoś potwora. Strach ten jednak okazał się zupełnie bezpodstawnym, gdyż za kilka dni stanęliśmy bez szwanku u celu naszej podróży.

Miasto Dumdum jest to właściwie wielka osada wojskowa z koszarami artyleryi i przynależnymi do nich stajniami, warsztatami i t. p. Pastor zaprowadził nas tam i zaraz na wstępie starał się dowiedzieć o mieszkaniu naszego ojca, lecz niespodziewanie otrzymaliśmy przygnębiającą wiadomość, że ojciec nasz zmarł przed 6 tygodniami na cholerę, która w owym czasie w Indyach tysiące ofiar zabierała.

Położenie nasze było przeto rozpaczliwe. Zdala od jedynej krewnej, mianowicie ciotki w Liwerpoolu, zostaliśmy sami, z niewielką resztą pieniędzy, aby jakiś czas móc żyć. Pastor bowiem musiał dalej puścić się w podróż.

Przed odjazdem jeszcze zaprowadził nas do nowego komendanta, dawnego przyjaciela ojca. Ten przyjął nas prawdziwie po ojcowsku, a jego żona szczególniej obchodziła się z nami, jakgdyby matka. Ponieważ zaś komendant ów doniósł ciotce naszej o całem nieszczęściu, musieliśmy tu blisko dwa miesiące przesiedzieć, czekając na odpowiedź i dalsze środki do życia.

Ja zajmowałem się uczeniem dzieci żołnierzy, a wolny czas od nauk spędzałem na przebywaniu w stajniach, warsztatach, w ujeżdżalni, na rozmowach z wojskowymi i t. p. Przytem zrobiłem nową znajomość z sierżantem Millem. Był to człowiek około 40-letni, który już wkrótce służbę wojskową miał porzucić, nie dziw więc, że się mną dużo zajmował, a ja, sierota, w zamian za to, szczerą z nim przyjaźń zawarłem. On opowiadał mi o swych przygodach, wyprawach, polowaniach, uczył mnię jeździć konno, pływać i strzelać do celu, w czem ja, mając szczególny do tego talent, w krótkim czasie do znacznej doprowadziłem biegłości.

Zbliżył się wreszcie czas, w którym miała nadejść odpowiedź od ciotki.

Istotnie w oznaczonym czasie przyszedł list, w którym ciotka prosiła pułkownika Benetta, aby nas napowrót do Anglii wysłał. Przysłała również na pokrycie kosztów podróży czek, na który w jakimkolwiek banku w Kalkucie można było podnieść pieniądze.

Przedewszystkiem chodziło nam o to, aby bezpiecznie móc się dostać do Kalkuty, a tym razem szybko się nadarzyła sposobność, gdyż wielu wysłużonych wojskowych powracało do Anglii; przyłączyliśmy się więc do ich towarzystwa.

Przy sprzyjającej pogodzie, w lektykach, na koniach i pieszo, wyruszyła cała karawana pod dowództwem mego przyjaciela, sierżanta Milla. Pułkownik Benett, wraz z kilku

oficerami, towarzyszył nam konno, lecz po kilku milach angielskich musiał wracać. Pożegnawszy się więc czule z pułkownikiem, sami dalej podróżowaliśmy. Podróż odbywała się zwykle tylko rano i wieczorem, w południe odpoczywaliśmy gdzieś w cieniu.

Pewnego dnia, po śniadaniu, gdy właśnie siostra obok mnie w cieniu spała, wypadł z niedalekiej gęstwiny ogromny tygrys, porwał Arabellę i również szybko się ulotnił. Dziecko nie miało nawet czasu krzyknąć. Powstał alarm wśród żołnierzy, wielu z nich, a nawet sam sierżant Mill, dosiedli koni i puścili się w pogoń. Nieprzebyte jednak gąszcze uniemożliwiły pościg, a zresztą, gdyby byli nawet dopadli tygrysa, byliby znaleźli dziecko niezawodnie już nie żywe; zapuszczanie się zaś głębiej w gąszcz, było dla ścigających również niebezpiecznem. Przygnębieni więc niezadługo z niczem powrócili.

Ja byłem bliskim rozpaczy. Tak szczerze kochałem Arabellę, że i teraz, gdy mi ta scena stanie przed oczyma, serce moje żalem i boleścią się napełnia... Kelner! jeszcze jedno cygaro!...

Tymczasem musieliśmy pogodzić się z losem i puścić się dalej w podróż.

Przybyliśmy wreszcie do Kalkuty. Tutaj siadłem natychmiast na pocztowy parowiec „Thetis“, który w stosunkowo krótkim czasie miał nas przewieść do Anglii.

Na okręcie zaznajomiłem się z jednym z chłopaków okrętowych, Włochem, nazwiskiem Matteo, który o kilka lat był odemnie starszy.

Mała różnica wieku, moje opuszczenie i sieroctwo, jego niezwykle rozbudzona fantazya spowodowały, że wkrótce staliśmy się nierozłącznymi przyjaciółmi. Matteo był znakomitym nurkiem i często bardzo, gdyśmy się w porcie zatrzymywali dla naładowania węgla, widziałem i podziwiałem, jak on w miejscu 40—50 stóp głębokiem, za rzuconą monetą skakał w morze, i prawie zawsze ją wydobywał.

Ja, jak już wyżej wspomniałem, właśnie się nauczyłem pływać, i jakkolwiek nie doprowadziłem do takiej perfekcyi, jak Matteo, jednakowoż przy każdej sposobności używałem morskiej kąpieli.

Razu pewnego zarzuciliśmy kotwicę niedaleko portu wyspy Mauritius na oceanie Indyjskim, w celu naprawienia maszyny okrętowej.

Upał był nieznośny. Ja więc, aby się ochłodzić, a raczej, dla zabicia czasu, skoczyłem w morze. Pluskałem się wesoło, a przyjaciel mój Matteo przypatrywał się tej zabawie.

Nagle usłyszałem krzyk: „Rekin!“ i nim do okrętu zdołałem dopłynąć, ujrzałem potwora poza sobą. Straciłem przytomność... A w tejże chwili rekin rzucił się na grzbiet i pochwycił mnie...

Co się ze mną dalej działo — nie wiem. Gdy przyszedłem znowu do przytomności, leżałem w kajucie, w hamaku. Lekarz okrętowy stał nademną. Słyszałem jego słowa: „Wreszcie przychodzi do siebie, nie ma już żadnego niebezpieczeństwa“.

I w istocie tak było; w krótkim czasie przyszedłem do zdrowia i do takiej pełni sił, iż byłem gotów całą tę awanturę jeszcze raz przebyć.

Wreszcie dowiedziałem się o szczegółach mojego ocalenia. Matteo rzucił się za mną w morze, dał nurka, ostrym nożem, który zawsze nosił przy sobie, rozpruł w jednej chwili brzuch rekina i mnie stamtąd wydostał . . . . .

. . . .

Opowiadanie to pana Knight'a zakrawało już bardzo na humbug. Jak poprzednio historya o tygrysie nie bardzo wydawała mi się prawdziwą, tak w to już zupełnie nie mogłem uwierzyć.

Musiał on po mej minie poznać, jak dalece wątpiłem w prawdziwość słów jego, gdyż przerwał opowiadanie i rzekł:

— Pan zdajesz się nie wierzyć prawdziwości mego opowiadania; lecz zapewniam pana, że w oceanie Indyjskim znajduje się bardzo dużo rekinów.

Nim jednak zdołałem mu powiedzieć, że wcale nie powątpiewam o obecności rekinów w oceanie Indyjskim, lecz, że tylko nieprawdopodobnym wydaje mi się sposób jego ocalenia, dodał:

— Kto wie, może to było inaczej, i Matteo zabił rekina przedtem, nim mnie tenże połknął.

Chciałem mu wykazać sprzeczności w opowiadaniu, lecz on, nie zważając na to, tak rzecz dalej ciągnął:

— Skoro tylko okręt został naprawiony, ruszyliśmy w dalszą podróż, aby południową kończynę Afryki objechać. Na oceanie Atlantyckim minęliśmy wyspę św. Heleny (znaną z wygnania Napoleona) i przybyliśmy do wyspy Ascension. Tu ukazały nam się zwiastuny wielkiej burzy, t. zw. Tajfunu. Pan zapewne już czytywałeś w opisach podróży, jak tego rodzaju burza szaleje, i jak w tym wypadku, wobec rozszalałych żywiołów, okręt jest bezradnym. Opis mój własny nie mógłby iść nawet w porównanie z opisami w takich arcydziełach, jak Marryat'a i innych; nie chcę go zaś dosłownie powtarzać, gdyż z natury nie nawidzę żadnego plagiatu. Krótko więc tylko powiem, że burza wyrzuciła okręt na skaliste wybrzeże wyspy i że prawie cała załoga zginęła, ja zaś tylko jeden cudem prawie zostałem uratowany.

Uczuwszy grunt pod nogami, z trudem wdrapałem się na skalistą wyspę i trzymając się wybrzeży tejże, doszedłem, odpoczywając po drodze, do angielskiej osady Georgetown. Na szczęście znalazłem jeszcze w kieszeni kilka sztuk pieniędzy i to mnie uratowało na razie od ostatecznej nędzy. Musiałem jednak, jak najspieszniej o jakichś środkach do życia pomyśleć, dopókiby nie nadeszła od ciotki odpowiedź na list, który wysłałem do Liwerpoolu.

Udałem się tedy do jakiegoś biura, które pośredniczyło w wyszukiwaniu miejsc dla majtków, robotników i t. p. a tam wskazano mi adres Mr. Brown'a, który właśnie poszukiwał młodego i porządnego służącego.

Wkrótce odnalazłem owego Amerykanina. Był to już starszy człowiek. Przyjął mnie bardzo przyjaźnie, a co więcej, wzbudził we mnie zaufanie. Po kilku dniach służby, zaproponował mi, czybym nie chciał z nim udać się do Ameryki, gdzie posiada rozległe dobra, a gdzie ja przy mojem wykształceniu i zdolnościach, o wiele korzystniejsze miejsce mógłbym otrzymać.

Jakkolwiek z jednej strony ciągle nosiłem się z myślą powrócenia do Anglii, jednakowoż z drugiej strony przyszedłem do przekonania, że w Georgetown żadnego prawie miejsca nie otrzymam, bo któżby chciał małego i wątłego chłopca (miałem wtedy lat 13) przyjmować do służby? Zresztą w Ameryce łatwiej mogła się zdarzyć okazya odpłynięcia do Anglii, niż na bezludnej wyspie, która mało kiedy się znosiła z ziemią ojczystą.

Wyznaję również, że chęć podróży i widzenia nowych krajów tak mnie opanowała, że chwilowo porzuciłem myśl powrotu do Anglii i postanowiłem panu Brown towarzyszyć w podróży do Ameryki.

Posiadłości pana Brown'a leżały w państwie Oregon, na wschodnich wybrzeżach Ameryki, w pobliżu gór skalistych

i miasta Vancouvre, około 100 mil angielskich od wybrzeża oddalonego. Składały się zaś one z ornego pola, oraz z rozległych obszarów lasu i kopalń.

Mr. Brown mieszkał sam w nadbrzeżnem mieście Astoria, u ujścia rzeki Kolumbii, która, jak również poboczna rzeka Lewis, przerzynała posiadłości jego.

Wkrótce więc opuściliśmy wyspę Ascension, wyruszając własnym jachtem do wschodnich wybrzeży.

Po długiej, ale dość szczęśliwej podróży, dotarliśmy do Astoryi, skąd mój nowy pan, po załatwieniu kilku naglących spraw, wyruszył dalej, aby posiadłości swe zwiedzić. Ku niemałej mej radości miałem mu towarzyszyć.

W połowie września, w piękny i pogodny dzień, wyruszyliśmy na koniach w licznem otoczeniu, które nie tyle dla naszej usługi, ile dla obrony przed wałęsającymi się Indyaninami było nam potrzebne.

Z wielkiem zawsze zadowoleniem przypominam sobie tę podróż.

Droga nasza prowadziła prześliczną okolicą, przez dziewicze lasy, wśród gór i nieprzebytych skał. Rozkoszując się pięknym widokiem, napomknąłem memu panu, że byłbym szczęśliwym, gdybym mógł jakiś czas w lesie mieszkać i oddawać się polowaniu.

— Mogłoby to być — odparł, gdyśmy właśnie przez stary, wspaniały las przejeżdżali i pozwolił mi u jednego ze swych dozorców lasowych pozostać, który właśnie pilnował robotników indyjskich, zajętych karczowaniem lasu.

Robotnicy ci należeli już do więcej ucywilizowanych Indyan, stanowiących większą część tamtejszej ludności i oddawali się spokojnej pracy, podczas gdy ich czerwonoskórzy bracia, t. zw. Szoszoni, zupełnie dziko żyli, z myśliwstwa się tylko utrzymując.

Niedawnymi jeszcze czasy napadali oni bardzo często osady Europejczyków, wszystko niszczyli i plądrowali, a nawet zabierali mieszkańców w niewolę. Od kilku lat jednak już o podobnych napadach nie było słychać, głównie może dlatego, że zbrojne od czasu do czasu wyprawy utrzymują ich w spokoju.

Mr. Brown zapytał mnie, czy zechcę jakiś czas przy dozorcy lasowym pozostać, aby mu w pracy pomagać, szczególnie w prowadzeniu ksiąg, bo jakkolwiek dozorca, Wilhelm Smith, znakomitym był w swym zawodzie, jednakowoż pisanie a w ogóle prowadzenie ksiąg i rachunków niezwykłe sprawiało mu trudności.

Nie miałem prawie słów na podziękowanie panu Brown za tę prawdziwą łaskę, gdyż od tego dnia rozpocząłem życie tak przyjemne, że już przyjemniejszego życzyć sobie nie mogłem.

Wyznaczona praca zabierała mi bardzo niewiele czasu, większą więc część dnia wałęsałem się ze strzelbą po lasach i górach. Stary pewien Indyanin był moim przewodnikiem a zarazem nauczycielem w nowym zawodzie. To też wkrótce, oprócz kilka innych sztuk, udało mi się ubić także jelenia. Najgorętsze jednak moje życzenie, mianowicie spotkanie się z niedźwiedziem, nie mogło niestety się spełnić.

— Przepraszam — przerwałem p. Knight — czy w Ameryce strzelają jelenie i niedźwiedzie ze zwykłych strzelb? Myślałem, że na ten rodzaj zwierzyny wychodzi się ze sztućcem lub w ogóle z gwintówką.

— Tak? — odparł myśliwy. — A czyż to strzelba a sztuciec nie wszystko jedno? Zresztą jeśli pan chcesz, to niech nam się zdaje, że to był sztuciec.

Zdziwił mnie cokolwiek taki myśliwy, który o rodzajach broni palnej nie miał — jak mi się zdaje — najmniejszego pojęcia. Cierpliwie jednak zgodziłem się dalej słuchać jego opowiadania.

— Niespodziewanie — ciągnął p. Knight — zbliżył się czas spełnienia mych marzeń. Przewodnik mój wytropił razu pewnego niedźwiedzia, siedzącego na trawie i zajętego pożeraniem jakiejś dziczyzny. Udało mi się na szczęście podejść go i jednym trafnym strzałem powalić...

— Czy strzał był w komorę? — zapytałem, gdyż opis polowania zaczął mnie nieco zajmować.

— W komorę? — zapytał p. Knight. — Jakto w komorę? Tam nie było żadnej komory, tylko niedźwiedź i ja do niego palnąłem.

Słysząc tę dziwną odpowiedź z ust p. Knight'a, nie zapuszczałem się już w żadne objaśnienia, lecz pozwoliłem mu dalej opowiadanie kontynować.

— Po tak szczęśliwym początku — mówił mój towarzysz — udało mi się jeszcze kilka razy ubić niedźwiedzia, a ponieważ niedźwiedź szary, czyli „grizly“, należy do niezwykle dzikich i gwałtownych drapieżców, na które polowanie z niebezpieczeństwem życia jest połączone, przeto w krótkim czasie zyskałem sobie imię sławnego i odważnego łowcy niedźwiedzi.

Pewnego dnia odkryłem świeży trop niedźwiedzi, o ile mi się zdawało starej niedźwiedzicy i jednego niedźwiadka. Postanowiłem je przeto wyśledzić.

Po półgodzinnem szukaniu, znalazłem oboje w pobliżu jaskini, która była, jak się zdaje, ich zwykłem mieszkaniem. Niedźwiedzica leżała w krzakach, młode zaś stało opodal na wolnem miejscu, w wygodnej bardzo dla mnie pozycyi do strzału. Nie zwlekałem przeto długo i wkrótce młody niedźwiadek ze skały, na której stał, stoczył się na ziemię. W tej chwili niedźwiedzica wyskoczyła z krzaków, obwąchała niedźwiadka i wybuchła strasznym rykiem. W fatalnej tej chwili chciałem drugim strzałem całą sprawę zakończyć. Strzeliłem więc, lecz nie wiem, czy niepokój niedźwiedzicy, do której nie mogłem dobrze wymierzyć, czy też mój pośpiech sprawiły, że — chybiłem; strzał zaś ten spowodował tylko to, że niedźwiedzica mnie spostrzegła i w tej chwili się ku mnie rzuciła. Na szczęście stałem bezpośrednio u wchodu do wyżwspomnianej jaskini, podczas gdy niedźwiedzica znajdowała się odemnie przynajmniej o 50 kroków. Miałem więc na tyle czasu, by się przecisnąć przez wąski otwór, lecz zaraz za mną i niedźwiedzica tam się dostać usiłowała. Wejście było wąskie, niedźwiedzica wielka. Mimo tego jednak wcisnęła się ona w szczelinę, że zaś otwór był ku środkowi coraz szerszym, a jaskinia sama obszerna, więc groziło mi wielkie niebezpieczeństwo. Na szczęście leżał niedaleko szczeliny ogromny, kilkocetnarowy odłam skały, którym, stoczywszy go po pochyłości, zdołałem wejście zatarasować i gdy się niedźwiedzica do środka pchała, podparłem skałę leżącym pniem drzewa tak, iż na chwilę zostałem uratowany.

Aby wyzyskać tę chwilę, chciałem strzelbę nabić, ale — o nieba! nie znalazłem przy sobie ani jednej kapsli. Miałem je w kieszeni od kamizelki i zapewne mi się podczas tej całej przeprawy porozsypywały.

Nie byłem więc w stanie strzelać. Niedźwiedzica zaś strzegła pilnie zatarasowanego wejścia, odchodząc tylko chwilami, aby nieżywego niedźwiadka obwąchać.

Postanowiłem przeto przeszukać całą jaskinię, czyby się nie udało znaleść z niej drugiego wyjścia. Wkrótce po-

wiew świeżego powietrza i przekradające się światło pouczyły mnie, że jest drugi otwór, wiodący z jaskini na zewnątrz, ale niestety, otwór ten, jakkolwiek nie bardzo ciasny, znajdował się przynajmniej kilka sążni nad ziemią, tak, że niemożliwem prawie było tam się wydrapać.

Powróciłem znów do pierwszego otworu, chcąc się przekonać, czy niedźwiedzica się nie oddaliła. W istocie odeszła, ale jeżeli znała może drugi wchód do jaskini, to z łatwością przezeń mogła się dostać, a wtedy byłem nieuchronnie zgubiony. Znalazłem się więc w rozpaczliwej sytuacyi i nie mogłem się zdecydować na powzięcie jakiegokolwiek zbawczego zamiaru...

Tu pan Knight zrobił małą pauzę, w czasie której kazał sobie podać trzecie cygaro.

Przyznaję, że formalnie drżałem z ciekawości, nie mogąc się już doczekać końca tego opowiadania.

— A więc cóż się stało? Jakżeś się pan wydostał z jaskini? — spytałem niecierpliwie.

— Ja wcale się jeszcze z jaskini nie wydostałem, ciągle tam jeszcze siedzę — odparł p. Knight z uśmiechem.

Nie wiedziałem, co mam sądzić o tej odpowiedzi. Zdawało mi się, że Anglik ma bzika.

— Racz pan mnie objaśnić, co to ma znaczyć?

— A, prawda, zapomniałem na początku naszej rozmowy powiedzieć, że jestem żurnalista, Neitelles, i piszę romans, który wychodzi w odcinku jednego z czasopism. Doszedłem w opowiadaniu mojem aż do tej nieszczęsnej jaskini, a ponieważ nie wiem, co mam dalej począć, postanowiłem udać się do pana majora. Pan major jako dobry myśliwy, znający zwyczaje i sposób życia niedźwiedzi, będzie niewątpliwie łaskaw...

— Idź pan do stu dyabłów, razem ze swą jaskinią i ze swym niedźwiedziem! — krzyknąłem i powiedziawszy kelnerowi, że jutro zapłacę, wybiegłem na ulicę.

Było już pół do 9-tej. Poszedłem prędko do hrabiego T., ale naturalnie nie zastałem go już w domu. W bramie spotkałem ordynansowego kaprala, który wychodził do kasarni.

— Pan pułkownik w domu? — spytałem.

— Pojechał na polowanie — brzmiała odpowiedź.

* * *

Na drugi dzień wstąpiłem do tej samej kawiarni.

— Przyszedłem zapłacić — rzekłem — mam jeszcze od wczoraj jedną kawę i dwie bułki.

— Razem 30 ct. — odparł kelner — lecz ten czarny jegomość, który z panem majorem siedział przy stoliku, kazał mi się udać do pana majora po pieniądze. Miał jedną kawę, dwie bułki i trzy cygara, razem 1 złr. 10 ct.

— Masz pan tu pieniądze — rzekłem — a gdybyś tego czarnego pana jeszcze kiedyś zobaczył, to powiedz mu, że... że kazałem mu się pięknie kłaniać!

J. Z. (Przeł. J. St.)

Zwierzyna i strzały.

Kilka uwag z doświadczenia.

W myśliwstwie zdarzają się wypadki niezwykłe, które należy notować i podawać do wiadomości powszechnej, bo tylko na takich wypadkach i spostrzeżeniach można oprzeć ogólne pewniki, tyczące się biologii zwierząt łownych, ich zwyczajów i zachowania się w czasie łowów. Jestem pewny, że każdy ze starszych myśliwych naliczyłby takich wypadków co najmniej kilkanaście, a i ja mam ich sporo do opowiedzenia. Nie będę wszakże wyliczał wszystkich, jakie mi bądź z własnego doświadczenia, bądź też z opowieści innych są znane, lecz poprzestanę na przytoczeniu kilku najcharakterystyczniejszych.

W późnej, tak zwanej „głuchej“ jesieni, wychodzisz w pole na wydeptanego, a chodząc po oziminach, ścierniach i ugorach, trafiasz w końcu na zająca — i strzelasz, ale bezskutecznie. Et! głupstwo, pocieszasz się: „Pierwsze koty za płoty“. Wydeptawszy następnie drugiego, strzelasz znów dwa razy — i widzisz, że ci poszło tak samo, jak z pierwszym. Zając gubi turzycę, lecz mimo to idzie dalej. Co to jest? Czy ci może zwierz za daleko pomknął? Nie! boć 50 kroków, to meta niedaleka.

Aha! przypominasz sobie, że ci baba przeszła drogę z próżnymi konwiami, więc już nie ma co robić! Zmęczony i zdegustowany, nabrawszy kwaśnopiołunowego humoru, zarzucasz strzelbę na plecy i kierujesz kroki ku domowi. Naraz, z pod nóg prawie, wymyka ci trzeci zając, a kicając wolno, idzie krótkim galopkiem w równej linii wprost od ciebie. W takich warunkach strzał nie wyśmienity, ale bądź co bądź warto spróbować. Chwytasz za strzelbę, składasz się, celujesz prawidłowo w słuchy i strzelasz. Z początku nie widzisz nic, bo dym, przygniatany mgłą, zasłonił ci widnokrąg zupełnie; słyszysz tylko, że zając kniazi, więc pewnie trafiony. Uskoczywszy na bok przed dymem, patrzysz jaki był skutek twojego strzału — i cóż widzisz? Oto „kuternoga“ zakołkowawszy wytrzeszczył bałuchy na ciebie i siedzi. Zaciekawiony niezmiernie, gdzieś go trafił, bo kniazianie daje tego niezbity dowód, postępujesz naprzód ku niemu. Zając ciągle siedzi bez ruchu. Podbiegasz więc, a zbliżywszy się w ten sposób do niego na 30 kroków, widzisz, że zając siedzi. Ba! jesteś od niego już nieledwie 15 kroków oddalony, a on jeszcze siedzi. Wreszcie instynkt zachowawczy zmusza go do wytężenia resztek sił swoich; zaczyna się biedak poruszać, i przebierając przednimi skokami, wlecze tył za sobą, a ujechawszy tak na zadzie jakich kilka kroków, podnosi się nagle, staje na wszystkie cztery nogi — i nuż w „dyrdy“. Jeżeli ze zdumienia zapomniałeś, że masz jeszcze drugi strzał do dyspozycyi, to tyle go będziesz widział, bo za chwilę zniknie ci za górką i przepadnie. Jeżeli zaś uda ci się drugim strzałem, skierowanym na połeć, położyć go trupem, lub co lepsze, jeśli ci go pies przytrzyma, przekonasz się ostatecznie, żeś go właściwie pierwszym strzałem, prawie tak jak chybił, gdyż jedno tylko jakieś, bokiem idące ziarnko śrutu, ugodziło go w czomber w pobliżu kosmyka, akuratnie w miejscu, gdzie kości nóg tylnych łączą się z kręgosłupem. Śrut nie przebił kości i tylko chwilowo sparaliżował grzbiet i oba tylne skoki. W podobnym wypadku radzę, poprawić natychmiast drugim strzałem, ponie-

waż i mnie, kiedy jeszcze nie miałem doświadczenia, przytrafiło się także, iż zając, w ten sam sposób strzelony, z powodu mojego zagapienia się, uciekł mi z przed nosa i przepadł na zawsze.

Innym razem znowu strzelasz do zająca na połeć w czystem polu, na odległość około 30 kroków. Po strzale podrzuca się zając pionowo na dwa metry w górę, a rozsiawszy w powietrzu spory żmyt turzycy, spada następnie ze zwinnością kota na nogi i posuwa się tak szybko, iż nim zdołasz otrząsnąć się ze zdumienia, już ci przepadł za pagórkiem. W tym wypadku najbardziej charakterystycznem jest jedynie to, że ów zając w biegu popisał się tak niezwykłą sztuką akrobaty, gdyż zwyczajnie podskakuje tylko wtenczas, gdy siedzi, a strzał padnie niespodzianie. W biegu zaś zwykł susać tylko przy sposobności przesadzania rowu, lub innej przeszkody. Skok jego jednak nie idzie wówczas nigdy w kierunku pionowym, tylko zawsze w kabłąk. W jakie miejsce ten zając był trafiony a raczej draśnięty, nie mogłem skonstatować, ponieważ, jak już nadmieniłem, znikł nam za pagórkiem. Z pozostałej zaś i po polu rozwianej turzycy nie dało się na pewne wywnioskować, czyli śrut przesunął się jemu przez grzbiet czy też po pod brzuch. Strzał do tego zająca dany był w roku 1886 lub 1887 na polach do Glinnika mariampolskiego należących, przez p. Kazimierza Jagoszewskiego, a ja byłem tylko widzem. Obaj jednak byliśmy tem zdarzeniem tak niezmiernie zafrasowani, że ani on ani ja z pozostałych nam jeszcze do dyspozycyi strzałów użytku nie zrobiliśmy.

Podobne wypadki zdarzają się także i pomiędzy ptactwem.

Wychodzisz naprzykład na polowanie na przepiórki. Strzelasz raz, potem drugi i trzeci, a zawsze ze skutkiem. Nabierasz tedy złotego humoru, popijasz na trupa i strzelasz dalej. W jednem miejscu przecież masz nieco więcej kłopotu. Pies wystawił ci przepiórkę i nie chce pójść dalej w żaden sposób, a przepiórka znowu, mimo, że zająłeś pozycyą *vis-à-vis* psa i zbliżyłeś się aż do niego, również zerwać się nie chce, przez co zmuszony jesteś spłoszenie przepiórki pozostawić wyłącznie psu samemu. Stajesz więc za psem, popychasz go lekko nogą i zmuszasz nareszcie do spłoszenia przepiórki. Po zerwaniu się, leci przepiórka nizko po nad ziemią. A że pies za nią nie pomknął, więc masz strzał znamienity, bo skierowany pod pióra. Strzelasz zatem i widzisz, że przepiórka leci dalej, z tą tylko różnicą, iż pierwej leciała w poziomym a teraz leci w pionowym kierunku prosto w górę, z tym jeszcze dodatkiem, że położenie przepiórki podczas tego lotu jest tak niezwyczajne, iż wydaje się formalnie, jakgdyby ją kto za główkę do góry ciągnął. Cóżto się stało? Zdziwiłeś się tak, że nawet drugim strzałem nie poprawiasz. Przepiórka tymczasem, podleciawszy tak do góry ze 20 metrów, zwija w końcu skrzydła i pada bezwładnie jak kula na ziemię. Podnosisz ją, opatrujesz i przekonujesz się, że trafiłeś ją w sam kuper i ubezwładniłeś tylną część tułowiu, podczas gdy przednia część przez kilka chwil jeszcze pozostawała w pełnej sile. Takich wypadków widziałem w życiu mojem kilka, lecz za każdym razem ptak nie był trafiony nigdzie indziej, tylko zawsze w kuper. Czasem dostało mu się także nieco po nogach.

Z kolei przejdźmy na błota, bo i tam także możemy nieraz zobaczyć coś ciekawego. I tak: Zrywa ci się dubelt, a lecąc w kierunku krzaków, podnosi się coraz więcej w górę. W przypuszczeniu, że jeszcze wyżej podnosić się będzie, bierzesz go ciemno na cel, to znaczy zakrywasz go całkiem muszką i pociągasz za cyngiel. Po strzale, dubelt spada z dymem i tylko tuman pierza unosi się w powietrzu. Każesz zatem psu aportować. Pies idzie, bierze i niesie. A ponieważ upał wielki i pies zgrzany, przeto bardzo lekko trzyma ptaka w pysku i od czasu do czasu wachluje po trosze ozorem, lecz mimo to niesie. Gdy się już przybliżył, pochylasz się, aby dubelta od niego odebrać. Pies otwiera paszczę i w mniemaniu, że to jego wina, pada nagle plackiem na ziemię. Ty zaś usłyszawszy „frrr!", patrzysz, co się stało. Czy drugi dubelt zerwał się psu przed nogami? Gdzie tam! to ten sam, coś go z dymem spuścił na dół, wyleciał psu z pyska. Na szczęście zapadł niedaleko, więc podchodzisz natychmiast. Pies wystawia go ponownie i w końcu bierze go żywcem. Ale nauczony przed chwilą, zamknął paszczę tak, iż oboma rękami dubelta z pyska mu wyjmując, musisz jeszcze upominać psa wyrazem: „puść!" Gdy go wreszcie masz już w rękach, zaczynasz oglądać i konstatujesz, że śrut przeorał do połowy grzbiet dubelta.

Gdyby kto zechciał może powiedzieć, że wypadek taki jest co najmniej przesadzony, bo jak niemożebnem jest to, aby na błotach, gdzie żerują dubelty, mogły rosnąć krzaki, tak niemożebnem będzie także i to, aby ptak psu z pyska wylecieć był w stanie — tego proszę pięknie, aby się przejechał do Bełza — a zaręczam całem jestestwem mojem, iż tam na błotach, między wiklinami, dubelty niezawodnie strzelać będzie. Jak więc prawdziwą jest ta okoliczność, że na błotach Bełzkich rosną krzaki, nawet dość wysokie, tak prawdziwem jest także zdarzenie z dubeltem. Opisałem je bez domieszki łgarstwa i bez upiększenia, lecz o ile można najdokładniej, tak, jak na nie własnemi oczyma patrzałem. Dlatego podaję to zdarzenie do wiadomości z tem większą śmiałością, ileże taki sam wypadek zdarzył mi się i z przepiórką.

Z tych przykładów, jakie tutaj przytoczyłem, niemniej z wielu innych, przychodzę wreszcie do konkluzyi, że każda zwierzyna, choćby tylko lekko po grzbiecie draśnięta, zostaje prawie zawsze, przynajmniej chwilowo, ubezwładniona. Po chwili jednak ocuca się i ucieka dalej. W takich wypadkach radzę, po pierwszym strzale być zawsze w gotowości do drugiego.

Tyle było w polu i na błotach. Przejdźmyż teraz do kniei i zobaczmy, jak tam, podczas polowania, zachowuje się osławiony łotr, furfant, łupieżca i rozbójnik — mykita!

Jak wielce mykita jest ostrożnym i przezornym — jak za pierwszem odezwaniem się nagonki, lub gdy gończak zagłosi, chyłkiem gdzieś bokami lub pomiędzy gęste krzaki z miotu się wynosi — jak naciśnięty obławą, posuwa się naprzód zwolna, bada teren troskliwie, nasłuchuje, co chwila staje, rozgląda się i coś kombinuje, jak nakoniec, wyszedłszy na linię strzelców i zwietrzywszy niebezpieczeństwo, robi błyskawiczny zwrot, wraca na nagonkę i jak strzała idzie przebojem — to rzecz powszechnie wiadoma. Ale ażeby lis, wśród wrzasku naganiaczy i gęstej palby strzelców, siedział spokojnie, obrócony tyłem do strzelca i słuchał kanonady, to może nie każdy wie o tem. Wypadek taki zdarzył się, już nie pamiętam, w roku 1887 lub z początkiem 1888 roku, w zimie, na polowaniu w Lipinkach, w miocie, który był z jednej strony trochę okrągławy, tak, iż staliśmy w półkole. Gdy nagonka przeszła już większą połowę miotu i wrzask jej zaczął się stawać nieznośnym, poczęły padać dość gęste strzały do zajęcy. Wśród tego wychodzi lis na b. c. k. starostę p. Błońskiego, a zbliżywszy się do niego na jakie 60 kroków, obraca się doń tyłem i patrzy tam zkąd przyszedł. P. Błoński, mniemając, że lis pójdzie na nagonkę, złożył się i strzelił. W odpowiedzi na strzał, lis

majdnął kitą do góry i usiadł — a p. B. gruchnął do niego po raz drugi. Potem patrzy, czy lis leży. Nie! siedzi najspokojniej. Zalterowany mocno tem zdarzeniem, łamie p. B. strzelbę z pospiechem, wkłada ładunki i huk! znowu dwa razy.

No! teraz już ma dosyć — myśli. Ale gdzie tam! Lis siedzi tak, jak siedział. Zdumiony niezmiernie, nabija p. B. strzelbę na nowo i ledwie dopiero piątym strzałem rozciąga lisa na śniegu.

Na to zdarzenie własnymi oczami nie patrzyłem, gdyż stałem na stanowisku z drugiej strony tego półkola, jakie strzelcy otaczali. Jednak o prawdziwości tego zdarzenia nie wątpię, gdyż je z ust samego pana Błońskiego, osoby bardzo poważnej wiekiem i godnością, zaraz po skończonym miocie słyszałem.

Jak i gdzie lis ten pierwszym strzałem trafiony został? Co go tak otumaniło, że siedział nieruchomy wśród wrzasku naganiaczy i piekielnej kanonady? — to pozostało tajemnicą, ponieważ strzałów danych do lisa szczegółowo nie badano.

Przypuszczam, że ten lis pierwszym strzałem, tak samo jak wyżej wspomniane zwierzęta, także w krąg pacierzowy postrzelony został — a może dostało mu się coś i koło głowy, czego następstwem było otumanienie i utrata świadomości, gdzie jest i co się z nim dzieje. Że pierwszym strzałem musiał być trafiony, nie ulega prawie żadnej wątpliwości, ponieważ za trafnością strzału przemawia wielce także majdnięcie kitą, albowiem lis chybiony nigdy kitą nie machnie — przynajmniej ja tego nigdy nie widziałem.

Próbowałem kilka razy w życiu, jeżeli ku temu miałem teren odpowiedni, dawać pierwszy strzał w powietrze, a drugi kierować dopiero do lisa. Jeśli mi się udało dosięgnąć go i zranić, choćby nawet nie bardzo ciężko, to zawsze zadarł kitę jak wiechę do góry. Po pierwszym strzale jednak, nie czynił tego nigdy. Z tego wnoszę, iż lis wtedy tylko kitą macha, kiedy jest trafiony. Zresztą w tem przekonaniu utwierdza mię także i ta okoliczność, iż widziałem przed frontem strzelców defilującego lisa, do którego padło na połeć najmniej ośm strzałów. Pod ogniem tych strzałów, sunął lis po śniegu, wyciągnięty jak struna, ale ruchów wcale nie zmieniał. Po jednym tylko strzale, który padł gdzieś po środku, zadarł kitę w górę, ale poszedł ze sto kroków jeszcze, poczem dopiero padł. Pokazało się w końcu, że był trafiony trzema śrutami, jakoś w połowie kadłuba, lecz nie w samą komorę. Śruty zaś ugrzęzły w takiem oddaleniu, jeden od drugiego, iż przypuszczać można było na pewne, że pochodziły tylko od jednego strzału.

Wszelakoż dla uniknięcia zarzutu, iż się posługuję myśliwską łaciną, szczególnie od tych panów myśliwych, którzy się lubują w tak zwanem „kociołkowem“ polowaniu, albo też z chartami, winienem nadmienić, że przy takich polowaniach mykita, nie będąc wcale raniony, zwykł wymachiwać kitą według upodobania. A pozwalam sobie przypuszczać, że czyni on to wówczas z umysłu, a nie mimowolnie, z bolu.

Skoro lis znajdzie się zamknięty w „kociołku“, zwykł biegać tędy i owędy, czasem także w koło. Przekonawszy się w końcu, że nie ma nigdzie wolnej do przejścia drogi, bo wszędzie naprzeciwko niego postępują naganiacze i myśliwi, staje zwyczajnie w miejscu i chwilę rekognoskuje. Następnie machnie kitą i idzie jak wiatr w jednym, jak się zdaje, kierunku, z taką śmiałością i natarczywością, że nawet strzał do zmiany kierunku zniewolić go już nie może. Charakterystyczną u lisa, przy takich sposobnościach, jest jeno ta okoliczność, iż jeśli machnie kitą w prawo, to sam idzie w lewo — i odwrotnie, jeśli kitą na lewo zarzuci, to w tym momencie jedzie już na prawo. Zdaje się, że wrodzona przebiegłość, każe mu w ten sposób bałamucić myśliwego.

Gdy lis na polu zostanie chartami poszczuty, to tak stary, jak i młody wybiera zwyczajnie najkrótszą drogę do lasu i umyka. Gdy atoli charty zaczną mu dawać za częste obroty, a lis pozna, że same nogi uratować go już nie są w stanie, natenczas ucieka się do fortelów i powierza głównie tymże fortelom salwowanie swego futra. Czyni zaś to w następujący sposób: Skoro chart z tyłu lub z boku dościga go, tak, że już tuż tuż pochwycić go ma, wtedy mykita machnie kitą na bok, a chart wytrzeszczywszy oczy w jeden tylko punkt, idzie prawie bezwiednie w tym kierunku, w którym ogon lisa mignie mu przed okiem, bo mu się najprawdopodobniej wydaje, że lis także w tę stronę i swój bieg skierował. Tymczasem, nim się chart spostrzeże, zwykle ze dwa sążnie jest już po za lisem, a mykita tymczasem sadzi w inną stronę.

Czasem to machnięcie jest tego rodzaju, iż się wydaje formalnie, jakoby lis kitę na ziemi położył. Wtedy wydarza się nieraz, że chart, chwytając już prawie za kitę, potyka się, uderza łbem o ziemię, i zrobiwszy w powietrzu *„salto mortale“* głową na dół, a zadem do góry, pada jak długi, na grzbiet. Stary chart atoli, obeznany już z takimi sztuczkami, postępuje nieco inaczej, bo gdy lisa dojdzie, odsadza się trochę na bok od niego, a następnie jednym skokiem naprzód wyprzedza lisa, a drugim z boku wali się na niego — i nim lis miał czas spróbować fortelu, już go za kark w paszczy trzyma.

W zakresie polowania „kociołkowego“ i z chartami, nie posiadam tyle doświadczenia, abym na niem z całą pewnością spostrzeżenia moje ugruntować i pewne dane podać mógł. Może to, co widziałem są tylko sporadyczne wypadki, może lis na tego rodzaju polowaniach zachowuje się jeszcze inaczej, lecz o tem już tylko specyaliści orzeknąć są w stanie. Ja stwierdzam jedynie tylko to, co widziałem, i za to przyjmuję odpowiedzialność.

Nie chcąc dłużej nudzić czytelnika, zakończę przytoczeniem wypadków niezrównanie bezczelnej zuchwałości lisa.

W roku zeszłym, w miesiącu listopadzie, odbywało się polowanie w lasach położonych w tutejszej okolicy i należących do wsi Hadykówki. Polowano w knici, która niestety, mimo bardzo pięknego podszycia i odpowiednich warunków, nie obfituje wcale w zwierzynę jakiegokolwiek rodzaju. Po kilku bezowocnie przegonionych miotach, zajęła wreszcie nagonka miot, słynący z przebywania lisów. Gdy się gon rozpoczął, podniosła nagonka, po niejakim czasie, w jednym miejscu miotu tak straszny wrzask, że można było suponować, iż tam co najmniej wilk, albo niedźwiedź się ukazał. „Niedaj! niedaj! a bij! a bij!“ — wołano bezustannie. Mając strzelbę nabitą tylko sarnim śrutem, przyznam się, że stałem nie bardzo odważnie; łydki zaczęły już dawać sygnał do odwrotu, serce zaczęło walić jak młotem i kto wie, czy za pierwszem ukazaniem się mysia, nie byłbym drapnął z całych sił. Ciekawość jednak przemogła bojaźń do tego stopnia, żem w miejscu pozostał, a na szczęście moje nie ujrzałem ani niedźwiedzia, ani wilka nawet. Był wprawdzie w tym miocie zając, ale bryznął bokiem; był nawet i lis, lecz na nasze utrapienie i ten także, — jakiś stary frant, który nie z jednego chlewka kury i gęsi już jadał — nie wyszedł wcale na linię strzelców, tylko wróciwszy na nagonkę, przebił się, mimo strasznego holukania i gęstego rzucania kijami, przez zwarty łańcuch naganiaczy. Jako trofeum zwycięstwa, przy tej walce z lisem, wynieśli

naganiacze z miotu tylko... świeżo uduszoną gęś, którą lis przy szturmie na ich szeregi z pyska wypuścić był zniewolony. Do ataku bowiem szedł zasłonięty gęsią i dopiero pod naciskiem nieprzyjaciela zostawił ją na placu boju.

I nie jestże takie postępowanie lisa bezczelnością bez granic? Świadkiem tego byliśmy, ja i inni myśliwi. A oto jeszcze jedno zdarzenie, które mi opowiadał p. Michał Galiński, strzelec znakomity i myśliwy, którego ani rogacz, ani lis w pole nie wywiedzie. Opowiadanie jego brzmiało mniej więcej tak:

„Na polowaniu urządzonem w Świerczowie, wyłącznie na lisy, postawiono mię w środku linii. Dzień był trochę mglisty. Stoję więc i wbrew myśliwskim przepisom pakam fajkę, bo bez niej obejść się nie mogę, a przecież i tak jakoś lis zwykł na mnie wychodzić. Po niejakiej chwili przychodzi zając kroczkiem tak leniwym, jak gdyby spożył na śniadanie z pół funta ołowiu, kołkuje przedemną na 10 kroków i niby nasłuchując, drzemie; po czem zabiera się i znów powoli kica dalej. Za moment przychodzi drugi i przypatruje mi się jak stary znajomy, a pożegnawszy się wreszcie ze mną, idzie tak samo zaspany, wodząc tylko bałuchami, gdzieby obrać nocleg. Nareszcie w oddaleniu około stu kroków pokazuje się jakiś potwór! A to co? Lis czy nie lis? Zaciskam usta, aby nawet para z nich nie wyszła i wytężam wzrok. Widzę już dokładnie, że za tym potworem ciągnie się najwyraźniej lisia kita. Ale cóż to jest, że łeb taki ogromny? Na szczęście idzie do mnie na sztych! Westchnąłem do Boga z prośbą, aby mi go nieochybnie sprowadzić raczył. Z niecierpliwości jednak, nie poprzestając na tem, skierowałem w myśli prośby moje bezpośrednio do tego potwora: „Chodź! lubciu, chodź! czemprędzej! Zbliż się jeszcze ze 20 kroków. Ach! rybko droga postąp jeszcze choć tylko 10 kroków. Zlituj się! już tylko choć 5 kroków!“. Przyłożyłem strzelbę do twarzy i czekam, bo nie wiem gdzie mierzyć, czy w ten potworny łeb? czy jak? Nagonka grzechocze kałatawkami, że aż w uszach dzwoni, a potwór tymczasem nic sobie z tego hałasu nie robi, tylko stanął i rozgląda się. Naraz... a bodajże cię piorun trzasł! Wyskakuje z za krzaku lis i to taki sam rodzony lis, jakich już wiele na tamten świat wyprawiłem, a zbiwszy tego potwora z tropu, zaczyna za nim gonić. O Boże! przepadło! Oba poszły w stronę mojego sąsiada. Po niejakiej chwili padł strzał, a wkrótce potem przeleciał, prawie tym samym tropem, lis w kierunku mojego drugiego sąsiada, gdzie za moment padł znowu strzał. Potem nic już więcej nie widziałem i dzwoniłem tylko zębami z niecierpliwości. Skoro tylko ujrzałem pierwszego naganiacza, pobiegłem kłusem do mojego sąsiada i pytam: „Do czegoś pan strzelał?“ „Do lisa!“ „Jakto? nie do potwora?“ „A jest i potwór“, — odpowiedział śmiejąc się. „Gdzie?“ „A ot! leży“. „Zabiłeś go pan?“ „A jużci“. „I to wszystko jednym strzałem?“ „Tak jest!“ dokończył mój sąsiad. Przybiegam bez tchu prawie i patrzę. Rzeczywiście leży lis, a obok niego zajęczy comber, który lis w paszczy trzymając przed nagonką unieść usiłował, a co mnie zdala i przy mgle, jako potworny łeb się wydawało. Dzięki jednak Bogu, karząca Nemezis skazała obydwa lisy na gardło — i oba też zostały na miejscu. Ja zaś tylko żałowałem, że mię Bóg przy tej okazyi skazał wyłącznie na odgrywanie roli widza, a nie wykonawcy wyroku, bo tę ostatnią rolę odgrywam zawsze z pasyą i zamiłowaniem“.

Po tem wszystkiem, co tutaj o lisie napisałem i co mi z opowiadania o nim jest jeszcze wiadomem, konkluduję w dalszej konsekwencyi, że lis nie wart jest ochrony. Bo i pocóż, pytam się, należy go właściwie ochraniać? Czy dla marnej skórki, co nie stanie za wyprawkę? Jest bowiem rzeczą wielokrotnie skonstatowaną, że wartość skórki lisa nie dochodzi ani czwartej części wielkości szkody, jaką lis wyrządza. Dla tego ośmielam się do poważnych głosów, które za tępieniem lisa przemawiają, dołączyć także i mój głos, streszczający się w dwóch wyrazach: „pereat mykita!“

Kolbuszowa dnia 28. września 1890.

Seweryn Kisielewski.

Z OBCYCH ŚWIATÓW.

Polowanie na tygrysy.

W tych krainach Indyj, gdzie Anglicy oddawna i gęściej się osiedlili, został już tygrys niemal całkiem wytępiony; lecz są jeszcze takie krainy, gdzie rajahowie indyjscy zakazują polować na tygrysy, uważając ten rodzaj łowów za wyłączny swój przywilej. Łowy takie odbywały się też dawniej z pompą niesłychaną i olbrzymią ilością uczestników. Wedle relacyi jezuity Verbiest z w. XVII. wyprawił się był raz cesarz Chin do prowincyi Leao-Tong z całą armią na łowy. Rozległe przestrzenie obstawiano wojskiem, a zdobyczą łowów było 1000 jeleni, wiele dzików i niedźwiedzi i 60 tygrysów.

Podobne łowy, urządzone przez Naboba z Andh, opisuje podróżnik Möckern. Nabob ruszył także z całą armią na polowanie i wiódł ze sobą przeszło 1000 słoni, nieprzejrzane szeregi wozów, wielbłądów, koni i wołów jucznych. Kobiety brały także udział w tej wyprawie, a bajadery, śpiewacy, błazny, sokolnicy z sokołami, sfory gepardów, koguty zaprawiane do walki, gołębie i t. d. towarzyszyły olbrzymiemu pochodowi. Na tygrysy polowano na słoniach.

Książęta indyjscy urządzają czasem jeszcze polowanie na tygrysy z sieciami. Co 4 do 5 metrów wbija się wysokie koły bambusowe i rozpina się między nimi silne, grube siecie, które się w pewnym punkcie zbiegają. Ku temu miejscu kierowana jest liczna i krzykliwa nagonka, tu zaś, na wysokich trybunach, znajdują się stanowiska dostojnych myśliwych. Siecie wznoszą się najniżej do 4 metrów wysokości i są tylko lekko do kołów przymocowane. Tygrys, zbliżywszy się do nich, a słysząc nagonkę za sobą, próbuje je przeskoczyć, lecz uderza sobą o sieć, która spada z nim razem i mota go. Wtedy kierują się ku niemu strzały myśliwych.

Jeżeli wymykający się tygrys nie ma zaufania do swego skoku, tedy usiłuje sieć obejść, a posuwając się wzdłuż niej, daje sposobność do strzałn ulokowanym wzdłuż sieci myśliwym.

Nagonka wyprawiać musi piekielne hałasy, żeby tygrysa z wysokich traw wyruszyć; krzyczy, kłapie kołatawkami, bije w bębny, strzela, roznieca ognie, rzuca płonącymi pochodniami w wysokie trzciny, a czasem używa z dobrym skutkiem dużych ponad zarośla puszczanych rakiet.

Kosztowne te sposoby polowania ustąpiły już wszakże i ustępują przed polowaniami w kilku lub kilkunastu, przy pomocy odpowiednio tresowanych słoni, jeśli teren łowów wysokimi trzcinami jest zarośnięty. Łowy tego rodzaju bywają bardzo wydatne.

Tam, gdzie teren jest miejscami odkryty i las z „dżunglami“ się mienia, poluje myśliwy w pojedynkę także tym sposobem, że ukrywa się nocą na drzewie, rzucając obok świeżo zabite zwierzę na przynętę, lub przywiązując bydlę do drzewa. Przychodzący na przynętę tygrys staje się wówczas ofiarą celnego strzału.

Jeden z najgłośniejszych myśliwych, hr. Ferdynand Trauttmansdorff, który polował we wszystkich częściach świata, a do końca z. roku miał już przeszło 60.000 sztuk ubitej zwierzyny w dzienniku swym łowieckim zapisanej — wydał niedawno temu książkę z opisami niektórych swych wypraw myśliwskich. Między tymi wyprawami są także polowania na tygrysy, w których mu towarzyszyli Węgier Pista Kegl, a innym razem ks. Braganza i ks. Ludwik Esterhazy.

„W górskich częściach Indyj centralnych — opowiada hr. Trauttmansdorff — gdzieśmy urządzili wyprawę, poluje się na tygrysa z nagonką. Stu lub dwustu naganiaczy obstępuje i przechodzi miot z piekielnym hałasem, podczas gdy myśliwi, zazwyczaj czterech lub pięciu, zajmują stanowiska na niewysokich drzewach, skałach i t. p. Jeżeli ilość myśliwych jest niewystarczająca, ażeby wszystkie przesmyki obstawić, natenczas w dalszym ciągu usadawiają się na drzewach naganiacze, którzy krzykiem i kołataniem odpędzają tygrysa, będącego strasznym tylko po zranieniu, ale trwożliwego przed strzałem.

„Polowanie takie może być z korzyścią tylko w miesiącach kwietniu i maju urządzone. Jest to czas najgorętszy, poprzedzający bezpośrednio porę deszczów. Potoki i bagna są wówczas powysychane, a tygrysy, podobnie jak i wszelka inna zwierzyna, koncentrują się w tych nielicznych miejscowościach, gdzie jeszcze można znaleźć wodę. Otóż o tej porze przywiązuje się tu i ówdzie bawoły do drzew jako przynętę, a każdego poranka rewiduje „szikari“ odnośne stanowiska. Jeśli więc „szikari“ pojawi się ze słowami: „Para mara“ t. j. z pożądanem doniesieniem, że bawół zagryziony, urządza się natychmiast łowy, gdyż tygrys po zagryzieniu wołu nie zwykł odchodzić zbyt daleko z powodu wielkich upałów.

„Linii naganiaczy towarzyszy zazwyczaj jeden „szikari“ na słoniu. Jeśli w miocie padnie strzał, musi nagonka się zatrzymać i wyczekać, czy się nie ozwie gwizdanie. Jestto bowiem sygnał, że tygrys padł na miejscu i że nagonka może iść dalej. Jeśli wszakże gwizdania nie słychać, muszą naganiacze chronić się na drzewa i skały i czekać dalszych poleceń. Wówczas przyprowadzają słonia do drzewa, z którego padł strzał, a myśliwy siada nań i puszcza się za farbą czy tropem tygrysa, ażeby go dobić lub przekonać się, że umknął i nie jest już niebezpiecznym. W takim razie gwiżdże drugi raz, naganiacze opuszczają swe stanowiska i polowanie idzie dalej.

„Zbadanie to wymaga czasem kilku godzin i stanowi ciężką próbę cierpliwości dla innych myśliwych, którzy tymczasem w spiekocie tropikalnej, bez nadziei strzału, na swych częstokroć bardzo niewygodnych stanowiskach muszą wytrwać.

„Lecz za wszystkie te przykrości jest już myśliwy samym widokiem tygrysa sowicie wynagrodzony. Jestto najpiękniejszy myśliwski obrazek, jaki w moim życiu widziałem. Powoli, majestatycznie, krokiem cichym wysuwa się tygrys z „dżungli“ (zarośli). Nie objawia on ani śladu trwogi, lecz nie widać po nim i gniewu. Całe jego wyglądanie ma raczej wyraz znudzenia i pogardy dla nietaktowności człowieka, który go w taki upał z południowego legowiska wypłasza. Lecz niech tylko padnie strzał, a w mgnieniu oka zmienia się cały obraz. Tygrys kładzie słuchy po sobie, głowa i pysk, zmarszczone tysiącem fałdów, stają się wyrazem wściekłości, z otwartej paszczy błyskają groźnie białe zęby — i z rykiem, przejmującym aż do kości, daje tygrys olbrzymi skok zazwyczaj w tym kierunku, skąd padł strzał. Biada temu, kto w tej chwili, nieostrożnym ruchem zdradzi swą obecność, gdyż tygrys jednym skokiem i uderzeniem łapy ściągnąć może myśliwego nawet z dość wysokiego stanowiska. Lecz na szczęście, wściekły zwierz nie szuka swego wroga między gałęziami, tylko na ziemi. Myśliwy, obdarzony zimną krwią, ma zatem dosyć czasu, ażeby tygrysowi wpakować drugą kulę, jeżeli zranione zwierzę, nie znalazłszy nieprzyjaciela, nie schroni się w najbliższych zaroślach.

„Pierwsze moje polowanie na tygrysa było całkiem niespodziewane. D. 4. marca 1886 przybyliśmy do obozu pułkownika Gerarda koło Lateri, ażeby ztamtąd robić myśliwskie wycieczki na pantery, niedźwiedzie i mniejszą zwierzynę, a po kilku dniach do głównej kwatery w Goonah się dostać. Wtem, d. 10. marca otrzymaliśmy wiadomość, że wielki tygrys rozdarł wołu i jest w pobliskim miocie obtropiony. Nie mieliśmy wprawdzie żadnego słonia, ale że tygrysy o tej porze przenoszą się jeszcze łatwo z miejsca na miejsce, nie mogliśmy czekać.

„W ciągu całej podróży miałem tylko mały mój ekspres, kal. 500, podczas gdy Anglicy używają na tygrysa dużych kniejówek kal. 10 lub 12 z kulami eksplodującymi, albo też sztućców żłobkowanych 577 o nabojach bardzo silnych. Ja wszakże do ekspresa mego miałem zaufanie, gdyż wiedziałem przynajmniej którędy jego kule chodzą.

„Wyruszyliśmy na łowy. Dostałem stanowisko na dość wysokiem drzewie, pod sobą miałem gęstwinę kolczatych krzewów, dalej rzekę, której nie mogłem dojrzeć, a naprzeciwko stok, zasypany odłamkami skał. Na prawo odemnie stał Gerard na wzniesionej łysinie, poniżej zaś ks. Braganza.

„Zaledwie nagonka pędzić poczęła, gdy jeden z krajowców pokazał mi, że tygrys posunął się ku stanowisku księcia Braganza. Wychyliłem się, ażeby go przynajmniej zobaczyć, lecz tygrys musiał zmienić kierunek, gdyż w tej chwili ukazał się podemną o jakie 30 kroków i szybkim dość krokiem przemykał się przez gęstwinę. Zanim zdołałem chwycić sztuciec i złożyć się, był już tygrys na 60 kroków. Strzeliłem do niego w chwili, gdy przesuwał się przez wąską ścieżynkę. Ściśle wziąwszy, nie należało mi już strzelać, gdyż strzał w tych warunkach musiał być niepewnym. Zwierz byłby wyszedł na Gerarda, i ten byłby go pewnie

na miejscu położył. Ale cóż robić! Było mi bardzo ciężko przepuścić tygrysa, którego po raz pierwszy w kniei widziałem, nie mogłem się pohamować — strzeliłem. Odezwał się ryk okropny. Zwierz skoczył, ale nie ku mnie, tylko w krzaki i znikł mi z oczu. Dopiero gdy zaczął wychodzić na przeciwległy stok, mogłem na jakie 200 kroków strzelić do niego po raz drugi. Wiedziałem wprawdzie po zachowaniu się i farbowaniu tygrysa, że został trafiony, lecz mimo zapewnień, jakie mi dawał stojący nieopodal szikari, przeczuwałem, że kula utkwiła za nisko. Gdy zaś po moich dwóch strzałach hałas nagonki, ku memu przerażeniu, nie ustawał, strzeliłem trzeci raz w powietrze, poczem wszystko umilkło — a więc naganiacze widocznie schronili się na drzewa.

„Zlazłem na ziemię. Inni myśliwi opuścili także swe stanowiska i zbliżyli się ku mnie. Byliśmy właśnie zajęci sprawdzeniem tropu i farby, gdy wtem wściekły ryk tygrysa odezwał się w miocie. Nie mogliśmy sobie tego wytłumaczyć i cofnęliśmy się czemprędzej ku memu stanowisku, ażeby móc lepiej przejrzeć, co się w miocie dzieje. Wkrótce ukazał się tygrys na przeciwległem wzgórzu; boki jego farbowały i z pyska ciekła krew, wzięliśmy to więc za oznakę, że jest śmiertelnie postrzelony. Odległość na strzał była za wielką, zachowaliśmy się więc spokojnie, ażeby mu się pozwolić zbliżyć. Lecz tygrys, niestety, zwrócił się w inną stronę i zniknął w zaroślach. Obeszliśmy zatem miot, a zwoławszy całą nagonkę, zapuściliśmy się z odwiedzionymi kurkami w gęstwinę. Tu przedstawił się oczom naszym bardzo smutny obraz. Zamiast postrzelonego tygrysa znaleźliśmy zwłoki rozdartego człowieka. Jeden z żołnierzy pułku Gerarda, chcąc raz z bliska polowanie na tygrysa, widzieć, szedł jako wolontaryusz z nagonką, a po moim strzale, mimo przestrzegania innych, nie chciał wyleźć na drzewo, lecz poszedł jeszcze parę kroków naprzód, ażeby sobie trzcinę bambusową wyciąć. Nieszczęście chciało, iż zbliżył się właśnie ku legowisku rannego zwierza, który też wypadł z całą wściekłością i rozdarł go w oczach innych naganiaczy. To było powodem owego, niewytłumaczonego dla nas ryku tygrysa i zakrwawienia mordy.

„Zniósłszy nieszczęśliwą ofiarę na dół, ku rzece, czyniliśmy dalsze poszukiwania, idąc z całym łańcuchem hałasujących naganiaczy. Taki środek ostrożności był bardzo wskazanym, i możeśmy w ten sposób dalszym nieszczęściom zapobiegli, gdyż tygrys, chociaż zraniony i rozdrażniony, rzadko kiedy na całą hałasującą gromadę ludzi się rzuca. Lecz był to i powód, żeśmy już postrzelonego zwierza nie znaleźli.

„Jeden z krajowców, siedzący na drzewie, widział go po strzale, i opowiadał, że kula przeszyła mu brzuch, tak, że część wnętrzności wyszła mu na wierzch; zapewne więc nie wylizał się już tygrys z tej rany. Na drugi dzień rano przebuszowałem jeszcze w towarzystwie jednego z krajowców wszystkie sąsiednie zarośla, lecz nadaremnie.

„Ten smutny wynik mego pierwszego polowania na tygrysy i przeświadczenie, iż skutkiem nierozważnego strzału stałem się powodem śmierci człowieka — ochłodziły bardzo moją gorączkę myśliwską. Przysiągłem sobie, że gdyby mi się jeszcze raz zdarzyło strzelać do tygrysa, nie będzie on już mógł na nikogo się rzucić. Przysięgi tej dotrzymałem rzetelnie. Ubiłem później ośm tygrysów, a z tych sześć padło na miejscu, dwa zaś powlokły się tylko o sto kroków dalej.

„W ciągu dalszej naszej wyprawy, w kraju rajaha z Rewah, w pewnej okolicy, gdzie nagonka w ciągu sześciu tygodni więcej niż 30 tygrysów obtropiła, wyjechaliśmy z obozu naszego pod Barambaba d. 23. kwietnia do miotu. Zająłem ostatnie stanowisko pośród gałęzi rozłożystej figi. Widok z tamtąd na prawo i na lewo był nieco liśćmi zasłonięty, przed sobą wszakże mogłem widzieć dokładnie cały miot, t. j. pagórek okryty nie zbyt wysoką, zeschłą trawą i pojedynczymi suchymi drzewami. Podemną ciągnęła się „nullah“, t. j. wyschnięte piaszczyste koryto potoku, ulubiony przesmyk tygrysów.

„Gdy się gon tylko rozpoczął, ukazały się na pagórku trzy „sumbury“ *(Cervus Aristotelis)* i przemknęły ku górnym stanowiskom. Hałas nagonki wzmagał się. W tem mignęło mi coś przez liście od prawej strony i w tejże chwili ujrzałem pod sobą, nie dalej jak na dziesięć kroków, potężnego, majestatycznie kroczącego tygrysa. Strzeliłem mierząc w komorę. Tygrys rzucił się w tył, kąsał się w ranioną łopatkę, przerażał widokiem swej wściekłości, a ryczał tak strasznie, że aż ziemia drżała. A wszystko to działo się podemną, tak blisko, że mogłem niemal końcem lufy dotknąć szalejącego zwierza. Widząc, że pierwszy mój strzał trafnie tygrysa ugodził, nie spieszyłem się z drugim, i napawałem się widokiem wspaniałego a oraz strasznego obrazu. Nagle tygrys podniósł się i potężnymi skokami począł umykać. Strzeliłem za nim. Stłumiony ryk był odpowiedzią na mój strzał i tygrys zniknął na zakręcie „nulli“.

„Z niecierpliwością oczekiwałem teraz na słonia. Dosiadłszy go i ujechawszy ze sto kroków za farbą zwierza, zatrzymałem się na znak „szikarego“, który mi na jedno miejsce przed sobą pokazywał. Choć mam wyborny wzrok, musiałem przecież chwilę się rozglądać, zanim ujrzałem tygrysa. A był on bardzo niedaleko, żółty na żółtym piasku, zaledwo w małą szczelinę wciśnięty i gotujący się do skoku. Słoń stał jak mur; złożyłem się przeto i palnąłem tygrysowi w łeb. Tym razem rozciągnął się odrazu i nie dawał już żadnego znaku życia.

„Tygrys ten, duży samiec, mierzył od pyska do końca ogona 9 stóp i 4 cale ang. Była to sztuka wielka, ale nie należąca do największych, chociaż samice nigdy i do tej wielkości nie dorastają. Największa tygrysica, jaką ubiłem, mierzyła 8 stóp i 8 cali ang.

Na tej wyprawie naszej w kraju Rewah zastrzeliliśmy 20 tygrysów, a mianowicie ks. Braganza 5, Gerard 3, ks. Esterhazy 3, jeden „szikari“ jednego, ja zaś 8. Szczęście myśliwskie sprzyjało mi. Przy ciągnięciu losów na stanowiska, wyciągałem zawsze najlepszy. Lecz należało mi się to słusznie od losu, który rok przedtem tak mnie prześladował, że choć byłem dwa miesiące w Indyach, nie mogłem ani razu zapolować na tygrysa.“

St.

KORESPONDENCYE.

Bereska, 19. października 1890.

(Broń na wystawie. — Ciąg słonek.)

Z uwagą oglądałem na wystawie wiedeńskiej broń. Najładniejsze strzelby były Springera spadkobierców, osobliwie dwie strzelby lankastrowe cal. nr. 12; lufy angielskie *damast crolé prima*, osadzane we Wiedniu. Obydwie jednakie, bardzo ładne, cena 600 złr. Miała ta firma także drugie dwie, podobnie wykończone jak pierwsze, lecz lufy były Bernarda z Liége; żądała za nie 450 złr. Dobrze wykończonymi na wzór angielskich były dwie strzelby Dzikowskiego ze Lwowa; oceniono je należycie, bo dostał medal srebrny. Mulacz z Wiednia, i nadworny rusznikarz ks. Schwarzenberga, wystawili kilka sztuk ładnej broni — zarzucić im można tylko przeładowanie złotem i ornamentami.

W ostatnich czasach zaczęli wyrabiać Nowotny, Springer i Mulacz: kniejówki *(Waldflinte)*. Są to strzelby o krótkich lufach, odznaczające się składnością. Krótkość ułatwia trafienie w szybkich, niespodziewanych strzałach, są zatem tak w kniei jak i przed legawym praktyczne. Mam taką kniejówkę Nowotnego cal. nr. 12 o lufach mierzących $70^1/_4$ centymetrów. Zabiłem z niej w ostatnich czasach przeszło 120 sztuk i jestem z niej bardzo zadowolony. Strzelba taka jest nieoceniona do słonek w lesie, a polecić ją mogę szczególnie mniej wprawnym strzelcom, gdyż z niej strzał łatwiejszy. Ja przynajmniej, strzelając z niej, mniejszy procent miałem chybionych strzałów.

Do strzelania w polu zajęcy, kaczek, kuropatw, gdy się daleko zrywają, trzeba znów innej strzelby. Jeżeli strzelec wprawny, to dobre są *choke-bore* gładkie, albo *choke rifled*, z których można strzelać śrótem i kulą — co przy zwykłych gładkich jest niemożliwem — o lufach długości 75 do 76 ctm, nabojach silnych, z gniazdem nabojowym 70 milimetrów długiem, ładunkach długich z dużą kapslą. Z takiej strzelby można daleko pociągnąć. Jeżeli się z niej strzela blisko, to rozbija przedmiot strzelony — a łatwo i chybić, gdyż śrót idzie kupą, tworząc małe kółko, które się może rozminąć z zwierzyną.

W tym roku zabiłem pierwszą słonkę 29. września. Dnia 11. b. m. po śniegu, który dzień przedtem padał jak w grudniu grubymi płatami, poszedłem z legawym na parę godzin szukać słonek. Nalotu familiami nie znalazłem, były tylko pojedyńcze. Zabiłem dwie, a wracając szedłem przez łąkę, zabiłem dubelta i chruściela. Strzeliłem do niego w krzakach, byłem pewny, że słonka, wtem patrzę, suka przyniosła chrustasa.

Dopiero po parodniowym nawalnym deszczu pojawiły się słonki rodzinami i jest ich więcej, niż w ostatnich kilku latach. Chodziłem z legawym, mając nadto 3 chłopców do naganiania, i sam jeden zabiłem w trzech dniach 26 słonek, jarząbka, kszyka, a dzisiaj chruściela i dwa zające.

Ale przecież słonek nie ma tyle co dawniej. Pamiętam u ś. p. (daj mu Boże niebo!) Kaźmierza hr. Wodzickiego w Olejowie zabiliśmy w 10 strzelb za $4^1/_2$ dnia 207 słonek. Wobec tego, co się dziś bije, zwątpiłem, abym był kiedy na takich godach. *Teofil Żurowski.*

Bołszowce, 24. października.

(Dalszy ciąg dziejów zagrabionej dubeltówki.)

Jak w przeszłym numerze „Łowca" donosiłem, odesłano mi po różnych podaniach i długiem oczekiwaniu dubeltówkę zdezelowaną tak, że za odrestaurowanie jej 25 złr. p. Alfr. Dzikowskiemu zapłacić musiałem. Równocześnie z dubeltówką otrzymałem i rezolucyę od c. k. krajowej komendy żandarmeryi lwowskiej tej treści, że żandarm Tadeusz Kowal (któregom o nieprawne zagrabienie oskarżył) zabierając mi strzelbę, prawnie sobie postąpił!

Nie chodzi mi o koszt poniesiony, gdyż nie mam zamiaru poszukiwać tego, ale ta rezolucya, że żandarm prawnie sobie postąpił, nie zdawała mi się sprawiedliwą, w konsekwencyi bowiem musielibyśmy i dla tych, którzy nam strzelby luźne noszą, osobne karty na broń na ich imię wyrabiać; a że nie zawsze i służącego przy boku mamy i ci się często zmieniają, że się zresztą nieraz na polowaniach wydarza, iż dajemy broń do noszenia pierwszemu lepszemu z naganiaczy — więc staranie się o karty dla nich byłoby nawet całkiem niewykonalne! Odniosłem się przeto z tą kwestyą do wys. c. k. ministerstwa obrony krajowej, prosząc o łaskawe rozstrzygnięcie sprawy i stawiając następujące trzy zapytania:

a. Czy żandarm, odbierając mi strzelbę, prawnie postąpił?

b. Czyli na przyszłość ten, co nosi luźną strzelbę, ma posiadać osobną kartę na broń, na jego imię wydaną?

c. Czyli ten, który wykonuje grabież kosztownej rzeczy od obywatela, nie podpadającego żadnemu podejrzeniu o nadużycie, nie jest obowiązanym, i sam nad zagrabioną rzeczą czuwać i oddając ją w inne ręce, polecić także czuwanie, żeby ta kosztowna grabież uszkodzeniu nie podpadła?

Otóż na to moje podanie, otrzymałem od wys. c. k. ministerstwa rezolucyę, w której na pierwsze moje zapytanie sub *a.* potwierdzono decyzyę c. k. krajowej komendy lwowskiej, t. j. że żandarm, odbierając mi strzelbę, prawnie sobie postąpił, a co do drugich dwóch zapytań, sub *b.* i sub *c.*, odesłano mnie do władz politycznych po decyzję.

W tym wypadku należałoby zatem do c. k. starostwa się udać, a to uznałoby zapewne, że żandarm nieprawnie sobie postąpił, bo przecież zagrabioną strzelbę mi oddano, a broń słusznie zagrabiona, zwracaną być nie powinna. Zresztą dowiedziałem się później, że żandarm Tadeusz Kowal został wkrótce przeniesionym, że więc i przełożeni jego nie musieli całego postąpienia uważać za prawidłowe.

Cóż mam więc z tym fantem zrobić? Chyba trzymać się maksymy Kowbasiuka: „Naj bude jak buwało!" gdyżbym nie wybrnął z całego tego zagmatwania.

Ezechiel Berzeviczy.

Tyflis d. 20. października.

(Z myśliwskiej wycieczki.)

Wybrałem się jak wiecie na myśliwskie objechanie i zbadanie Kaukazu. Rzecz to bardzo uciążliwa. Polowanie i przygotowania do polowań zajmują mi prawie cały czas, tem bardziej, że tu prawie wszystko samemu trzeba wykonywać i pomocy lub wyręczenia znaleść trudno. Od kilku lat w ciągłych jestem podróżach, pragnę wszystko widzieć i badać, a że tu nie ma nikogo, ktoby mógł dawać stosowne objaśnienia — bo miejscowi raczej w błąd wprowadzają — więc jestem w ciągłym ruchu i walczę z niemałymi trudnościami.

Za przybyciem do Władykaukazu, miasta, stanowiącego niejako przedmurze samego Kaukazu — jak go nawet poeci

Puszkin i Lermontow opiewali — korzystając z uprzejmych rekomendacyj, które mi dano w kraju — udałem się do pp. inżynierostwa N., którzy zaznajomili mnie zaraz z dr. P., najsłynniejszym myśliwym we Władykaukazie. Dr. P. utrzymuje okazałą psiarnię o kilka wiorst za miastem, posiada nadto znakomite przybory myśliwskie i piękną kolekcyę łowieckich trofeów.

Ponieważ dr. P. liczną ma klientelę i nie mógł bezzwłocznie ze mną na łowy się wybrać, zatem czyniąc zadość mej prośbie, wydał piśmienną dyspozycyę dozorcy swej psiarni, staremu myśliwemu, osadnikowi kozakowi, ażeby tenże, zebrawszy towarzyszy, urządził polowanie na niedźwiedzie i dziki, przebywające w kniejach, niedaleko futoru jego położonych.

Nazajutrz rano stawiłem się w futorze starego kozaka ale jego samego nie zastałem, a tem samem i jego współtowarzyszy, którzy, lubo słyszeli o poleceniu dr. P., bez kierunku starego dozorcy nic począć nie mogli. Lecz w tym razie przyszła mi w pomoc energiczna kobieta, synowa starego kozaka, która go zastąpiła. Zawezwawszy bliższych sąsiadów kozaków z pola, gdzie byli przy robocie i wynalazłszy młokosa do prowadzenia psów, urządziła mi w ciągu niespełna godziny myśliwską drużynę, złożoną z trzech myśliwych i psiarza. Ja miałem nadto swego służącego.

Wyruszyliśmy bezzwłocznie. Po zapuszczeniu się półtory wiorsty w góry, podłożono psy. Gon ich, jako w dniu gorącym, był tępy, a do tego podkładający przerywał go strzałami. Gdym go zato zgromił, rzekł, iż to u nich w zwyczaju. Zapuściwszy się ze mną w rozmowę, nabrał większej ochoty do polowania i twierdził, że trzeba nam koniecznie jechać do Tarskiej stannicy, odległej o 9 wiorst, gdyż są tam gęste niedźwiedzie, a trafiają się także jelenie. Widząc niefortunny wynik gonu na miejscu, usłuchałem go, i wyruszywszy natychmiast, po haniebnej drodze dotarłem do rzeczonej stannicy. Tam na wstępie spotkałem starego przywódzcę i kozackich myśliwych, a zarazem kilku z drużyny łowieckiej, którzy się ochotnie na dzień następny zbierali.

Nazajutrz, już o godz. 6. rano szykowała się drużyna do wyprawy, a o 7. ruszyliśmy w 14 strzelb, tj. 12 miejscowych i nas dwóch przybyłych. Wstęp na góry był przykry, spadzistości znaczne, a ścieżki, choć szerokie, tu i ówdzie zawalone kamieniami. Na przesmykach widoczne były ślady świeżych tropów i knocenia niedźwiedzi. Zatrzymaliśmy się wreszcie i podłożyliśmy psy; nie było ich wszakże słychać, bo uniosły się za innym zwierzem. Minęła przeszło godzina — wtem dały się słyszeć cztery strzały jeden po drugim, a w pewnym odstępie piąty. Udałem się na miejsce, skąd strzały dochodziły i spotkałem starego przywódzcę drużyny, który mi oznajmił, że niedźwiedzicę ubił właśnie jeden kozak, a przytem piastuna postrzelił. Wkrótce też przyciągnięto starą niedźwiedzicę i młodego z pięknym włosem niedźwiadka. Obie sztuki oporządzono na miejscu i ułożono na gałęziach, jako noszach. Do nich przybył jeszcze ładny koziołek, ubity siekańcami przez innego kozaka.

Ruszyliśmy z powrotem ku dołom. Raz jeszcze podłożono psy, ale bez skutku, gdyż uraczone odprawą ze zwierzyny, gonić już nie chciały, a nadto była pora sucha i bardzo gorąca. Niezadługo wróciliśmy do stannicy, gdzie po zdjęciu skóry i podziękowaniu kozakom odpowiednim datkiem, udaliśmy się do miasta. Dr. P. bardzo był uradowany szczęśliwym wynikiem wyprawy, a gdyśmy się na drugi dzień żegnali, zapraszał w przyszłości na słynne polowania w stepach Kizlaru.

Tu, w okolicach Tyflisu, polowałem w miłem towarzystwie rodaków na „turacze“, tj. rodzaj pięknych pardw, których w dwóch dniach dziesięć ubito. Jednego turacza dałem do wypchania.

Stąd jadę dalej do Baku, a stamtąd do Lenkoranu nad brzeg morza Kaspijskiego, gdzie o tej porze dużo rzadkiego ptactwa przeciąga. Podchodzą tam niekiedy i tygrysy z Persyi. Jaki będzie wynik tej wyprawy, doniosę wam wkrótce.

J. R.

Sprawozdania łowieckie.

— W Sorocku, w powiecie skałackim, u Michała hr. Baworowskiego, polowano dnia 7. października w dziesięć strzelb w lasku na przestrzeni 140-tu morgów. W niespełna pięciu godzinach ubito jednego rogacza, dwa lisy i 23 zajęcy. Razem więc sztuk 26. W przeszłym roku ubito o tej samej porze tylko sześć zajęcy, ale za to siedm lisów. Poprawiający się stan zajęcy przypisać należy gorliwemu tępieniu szkodników.

— W Łanowicach, majątku Wgo Serwatowskiego, w 300-morgowym lesie i siedmiu miotach polowano d. 21. października w 6 strzelb i w czterech godzinach ubito: 4 rogacze, 9 zajęcy, 2 lisy i 3 słonki. Gdyby można było lepiej mioty myśliwymi obstawić, i gdyby nie to, że padający liść wypłoszył zające w pole, mogło paść więcej zwierzyny. Kilka lat temu na całodziennem polowaniu w tym samym lesie widziano zaledwie kilka sztuk, a że teraz stan zwierzyny tak znacznie się powiększył, zasługa właściciela, który nie szczędzi kosztów w celu ochrony zwierzyny.

Donosząc o odbytem polowaniu pozwolę sobie kilka słów dodać, o odbytem wydzierżawianiu gminnego polowania w dniach 1., 2. i 3. października b. r. w powiecie samborskim. W niektórych gminach tego powiatu jest trochę błót, w innych trochę krzaków, a wreszcie pola czyste. Na pierwszych ubić więc można kilka kszyków i chruścieli, w drugich kilka zajęcy, na ostatnich można czasem, raz w rok, zobaczyć zająca. Otóż wyda się to niejednemu dziwnem, że za te polowania gminy dostają od 20 do 50 zł. rocznego czynszu. A dlaczego? Bo mamy w samborskiem kilka kolonji Niemców, którzy mają w zimie dużo wolnego czasu i chcą polować, lecz nie dla przyjemności, tylko dla korzyści. A jaką mogą mieć korzyść? Oto w zwabianiu i ubijaniu zwierzyny z sąsiednich dworskich lasów, bo dzierżawca taki, który poluje dla interesu, nie liczy tego, co może ubić na gminnych, lecz to, co mu się uda ubić na gminnem z dworskiego. Rozumie się, że nie znają oni czasu ochrony, ani nie liczą się z tem, jaką zwierzynę wolno bić lub nie — i dlatego przy licytacyi tegorocznej, polowania, za które płaciło się 5 zł., podniosły się do 50 zł. zwłaszcza te, gdzie są właściciele większych posiadłości. Ci ostatni, niechcąc dopuścić tych tak niepożądanych gości, musieli sami w swoich wioskach tak drogo za polowanie gminne zapłacić. Wiem np. taki wypadek, że właściciel, mający 600 morgów lasu swego, nie chciał puścić takich gości na gminne pola i zapłacił za te 50 zł. rocznie, t. j. przez 6 lat zapłaci 300 zł., a chciałbym wiedzieć ile i jakiej zwierzyny musiałby ubić w swoim lesie, ażeby mu się te 300 zł. wróciły, bo na gminnem może jednego zająca ubije lub i to nie. Na ostatek dodam to, że i w tem niema wielkiej słuszności, ażeby każdemu, niemającemu karty na broń, wolno było przystępować do licytacyi polowań gminnych.

Józef Wróbel, leśnik.

KRONIKA.

Z cesarskich łowów. Na polowaniach cesarskich, które z powodu bytności cesarza niemieckiego w gościnie u cesarza Franciszka Józefa w pierwszych dniach października w styryjskich Alpach koło Mürzsteg się odbywały, ubito w całości 109 sztuk, a mianowicie 4 jelenie duże, 25 mniejszych, 7 łań, 35 kozic (samców), 37 samic i koźląt, wreszcie 1 lisa. Cyfra ta dopiero w kilka dni po skończonych łowach mogła byś skonstatowaną, gdyż wiele postrzelonych sztuk musiała służba leśna dopiero szukać i dobijać.

Napad odyńca. W tych dniach, w okolicy Uściługa nad Bugiem, na polowaniu z obławą uległ pan Stefan Malczewski smutnemu wypadkowi. Rozjuszony strzałami odyniec wypadł wprost na niego. P. M. zmierzył się i strzelił, ale strzał nie był śmiertelnym. Odyniec zdołał więc jeszcze ciąć go potężnymi szablami. Rannego przewieziono natychmiast do Chełma a stamtąd do Warszawy.

O wielkim ciągu orłów donoszą z Kijowa. Dnia 16. września w południe, gromadkami po 14 do 18 sztuk, przeciągały orłe płowe i orły bieliki ponad miasto. Razem było ich około stu. Ciągnęły na południe.

Kuropatwy od pioruna rażone znaleziono na polu w Szląsku pruskim. Dwoje starych i piętnaścioro młodych leżały główkami do siebie na przestrzeni metra kwadratowego. Nie wiedziano zrazu, co mogło być przyczyną śmierci całego tego gniazda. Dopiero spalona trawa i inne oznaki wskazały, iż było to uderzenie pioruna.

Znany ornitolog, v. Tschusi zu Schmidhoffen, mieszkający w willi Tännenhof koło Hallein w Salzburgu, zamieszcza w pismach łowieckich prośbę o daty i objaśnienia, tyczące się wędrownej odmiany kuropatwy, co do której toczące się spory dotychchczas jeszcze są nierozstrzygnięte. P. Tschusi prosi o posyłanie mu ptaków, któreby ktoś za wędrowną kuropatwę poczytywał, i w ogóle wszelkich czynionych w tej mierze doniesień i zasięgniętych wiadomości.

Wilki. Na Bukowinie w okolicy Hadikfalva pojawiły się w połowie października wilki i wyrządzały wielkie szkody mieszkańcom w stadach bydła i owiec.

Rasa psów z góry św. Bernarda sławną jest od dawna po całym świecie, lecz dopiero przed laty dwunastu stała się przedmiotem poważnych badań naukowych. Skąd psy te pochodzą, o tem nie wiedzą mnisi ani z góry św. Bernarda, ani z góry św. Gotarda. stwierdzono jednakże, że rasa ta jest owocem krzyżowania długowłosych psów pasterskich wallijskich i silnych brytanów duńskich. Opowiadają, że brytana takiego ofiarował mnichom hr. Mazzini, i ten to pies był protoplastą słynnych psów, wybawców ludzi zmarzniętych. Dotąd jeszcze niektóre z psów omawianych mają włos długi, inne zaś krótki. Powstały w ten sposób dwie oddzielne rasy.

W klasztorze na górze św. Bernarda przyznają pierwszeństwo psom o włosach krótkich, ponieważ włos ten, jako gęstszy, lepiej chroni od zimna, a nadto śnieg nie osiada na nim tak grubo, jak na włosach długich. W innych okolicach bardziej poszukiwane są psy o włosie długim, są bowiem piękniejsze. Zaletą psów z góry św. Bernarda jest ich wielka inteligencya, wierność i przywiązanie do swego pana. Przymioty te sprawiają, że psy owe są bardzo poszukiwane, a zawdzięczać je należy nader starannej hodowli, której celem jest nie zabawka, ale pożytek. Wskutek popytu, cena psów z góry św. Bernarda poszła znacznie w górę. Skorzystali więc z tego mieszkańcy okolic sąsiednich i zaczęli w całej Europie sprzedawać wielkie psy, wmawiając w kupujących, jakoby nabywali psy rasy pochodzącej od słynnego Bafry. Sztuczka ta udawała się długo, kiedy oszutwo wyszło na jaw, zaczęto głosić, że rasa psów z góry św. Bernarda wskutek zawiei śnieżnych i rozmaitych chorób zupełnie wymarła.

Jest to jednak nieprawdą i rasa ta istnieje. Jakże wyglądają gsy rasy omawianej? Postać ich silna, wysokość 70 cm. (u suk 62 cm.) wzrok surowy ale nie złośliwy; głowa wielka, ale symetryczna, czaska płaska, pomiędzy oczami widoczny rowek, wysokość nosa większa od tegoż długości, wargi górne łatwo opadają, nos i wargi czarne. Uszy szerokie, osadzone wysoko, średnio długie, przystają płasko, u końca są zaokrąglone; oczy brunatne, dobrze przez powieki otoczone. Pomiędzy oczami, a górną częścią czaszki widać małe fałdy. Kark silny, podgarle małe. Szyja wzniesiona do góry. Włos bardzo gęsty, u ogona nie zadługi, na szyi nieco dłuższy niż na reszcie ciała. Kolor wyłącznie biały z rudo-kasztanowatym, biały z płatkami szaro-żółtymi lub brunatnymi. Białe znaki znajdują się na łapach, piersi, pysku, na ogonie i na karku. Włos prosty, lub z lekka kędzierzawy, na grzbiecie silniejszy niż na innych częściach ciała, u nóg przednich widać małe kosmyki włosów, na udach włos nieco dłuższy. Na przodzie głowy, uszach i nogach włos nieco krótszy, na uszach aksamitny. Fałdy na czole małe. Wszystkie te cechy posiadała suka Juno, którą major Bloesch z Biel sprzedał do Anglii za 10.000 fr. Znawcy twierdzą, że Juno jest najszlachetniejszym psem na całym świecie.

Drugi pies, Watzmann II., zdobył dla swego właściciela na wiedeńskiej wystawie rolniczo-leśnej dyplom honorowy i pierwszą nagrodę. Cenę jego oznaczono na 25.000 guldenów, jest on własnością p. Fryderyka Baumana z Monachium. Psa tego podziwiali wszyscy, jest to okaz wspaniały. Ciało silne, włos biały z plamami jasno rudymi, głowa typowa, chód lwa, wzrok surowy, siłę, dobroduszność i inteligencyę zdradzający. Oto jego cechy.

Psów takich jest w Europie nie wiele — nigdy ich bowiem nie było na górze św. Bernarda dużo.

Być może, że z czasem, wraz z powiększeniem ich liczby, spadnie także ich cena. Stanie się to niezawodnie, gdyż w ostatnich czasach zaczęto bardzo energicznie i umiejętnie zajmować się ich chowem; a zachęcają do tego coraz częściej urządzane w Europie wystawy psów, na których troskliwi hodowcy, oprócz medali, otrzymają sowite nagrody pieniężne. Zresztą ludzie nauczyli się już płacić dziesiątki tysięcy nietylko za wspaniałe rumaki, ale także i za prawdziwe psy z góry św. Bernarda.

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.